

odgłosy



23 (553)
9. VI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Z teki Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego.

Fot. Z. Hałatek

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Praca dydaktyczno - wychowawcza czy praca naukowa?

(NA MARGINESIE DYSKUSJI
O SPRAWACH SZKÓŁ WYŻSZYCH)

Wypadki marcowe pokazały dobitnie, że praca wychowawcza stanowi „słaby punkt” na wyższych uczelniach, a pomimo używania i nadużywania przez wiele lat sloganu „katedry bliżej ławek”, dystans okazał się dość odległy.

Posypały się więc oskarżenia na wyrost pod adresem personelu nauczającego, a równocześnie wyłoniła się paląca konieczność dokonania reorganizacji szkolnictwa wyższego, przede wszystkim pod kątem przywrócenia odpowiedniej rangi pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Na placówkach Polskiej Akademii Nauk ciąży właściwie jeden obowiązek — prowadzić i rozwijać badania naukowe. Szkoły wyższe muszą kształcić i wychowywać specjalistów dla wszystkich dziedzin naszego życia państwowego, a równocześnie ich pracownicy naukowcy muszą legitymować się stałymi postępami w pracy badawczej. Jakże więc proporcje istniały pomiędzy tymi dwoma nurtami pracy wyższych uczelni? Co i jak było premiowane?

Uwagi moje dotyczą stosunków panujących na historii, lecz wydaje się, że mogą być przeniesione w sferę każdej innej dyscypliny humanistycznej.

Dalszy ciąg na str. 3

RYSZARD KLIMCZAK

RELIKT

(FRAGMENT
PRZYGOTOWANEJ DO DRUKU
POWIEŚCI PT. „TWARDY”)

— Cześć, Twardy! Poznajesz? — wyciągnąłem dłoń.

Otworzył szeroko ramiona. Uściskaliśmy się.

— Pewnie, że poznaję. No, jasne.

Wiedziałem, że kłamie. Oczywiście, nie poznawał. Pomyślałem sobie, że Twardy właśnie w ten sposób powita każdego, ktokolwiek zawoła doń: cześć! Jego oczy powiedziały całą prawdę. Udał, że poznaje, że doskonale wie kim jestem, chociaż nie go nie obchodziłem. Byłem teraz dla niego jednym z wielu. Pożalo-

walem, że narzuciłem swoim powitaniem bezradny wysiłek pamięci. Twardy był najlepszym cekaemistą w oddziale. Byliśmy tam z sobą bardzo blisko.

— Czy muszę wpłacić tę stówkę? — zapytał cicho.

W pokoju było jeszcze parę osób. Zjechali z różnych stron kraju. Rejestrowali się wszyscy na mojej liście.

— Nie musisz — odpowiedziałem.

— Wiesz — dodał na poły usprawiedliwiająco, na poły zaczepnie — jestem na rencie. Nie przelewa się.

W porządku. Gdzie mieszkasz Twardy?

— Na starych śmieciach. W Starachowicach.

Zakreślił się na pięcie. Wyszedł. Nie było jego wina, że zapomniał. Myślę, że dość dokładnie zajęła się jego pamięcią skleroza.

Zbliżała się godzina odsłonięcia pomnika. Miał stanąć tuż nad samym brzegiem rzeczki Kotyski, w miejscu, z którego oddział wyruszył w pole. Ostatecznie wstępny projekt lokalizacji upadł i pomnik wzniesiono tuż obok szkoły. Fundusz budowy powstał z darów miejscowej ludności i składek byłych partyzantów, którzy przebyli szlak bojowy brygady. Ten szlak wryty został na cokole pomnika wraz z nazwami miejsc-

Dalszy ciąg na str. 6

Przepraszam, że się ośmielam

Jeżeli tym, co tu napiszę, ktoś poczuje się dotknięty — z góry go za to przepraszam. Ale nawet za tę cenę (że komuś ewentualnie sprawię przykrość, nie mogę zrezygnować z napisania rzeczy, które wydają mi się słuszne, choć w swej słuszności, zapewne nieprzyjemne. Wiemy wszyscy, że Dni Oświaty, Książki i Prasy to impreza, bez przesady wspaniała. Czeka ją na nią rokrocznie dorodzi i dzieci, twórcy i odbiorcy kultury, pisarze i ich czytelnicy.

Podobnie jak w latach poprzednich i w tegorocznych dniach majowych miałem sporo spotkań z czytelnikami. Dla człowieka piszącego nie sposób kontaktów z odbiorcą przecenić. Piszęmy przecież nie dla zawodowych krytyków (których sady znamy, gdyż wypowiadają się o naszych książkach na łamach czasopiśmiennictwa), piszęmy dla czytelników, których opinie o naszej twórczości nie docierają do nas prawie wcale, a jeśli nawet docierają, to tylko od czasu do czasu i bardzo wyrwykowo. Więc gdy przyjdzie maj i okazja do autorskich spotkań — bierzemy w nich chętnie udział wpróż konomiu, że dowiemy się czegoś od naszych czytelników i o nich samych. Co czytają, a czego czytać nie mogą i nie chcą, co sprawia im zadowolenie a co denerwuje, jak oceniali stan współczesnego piśmiennictwa i w czym autorzy nie spełnili ich oczekiwań i nadziei.

Wiele z tych spotkań, które miałem ja i moi koledzy, należy zaliczyć do bardzo udanych. Dobra frekwencja, zainteresowanie, ożywiona dyskusja, przekształcają się często w długą rozmowę z garstką ludzi po zakończeniu imprezy. Do takich udanych spotkań zaliczyłem wizytę w zakładach im. Armii Ludowej przy ul. Fabiańskiej, w zakładach im. 9 Maja przy ul. Tylniej, w klubie ZMS „Lokator”, w świetlicy przy ul. Mazurskiej, oczywiście w klubie „Hermes” (gdzie z reguły wszystko się udaje), w II Bibliotece dla Dorosłych i jeszcze kilku innych, a poza

Łodzią — w Gąlkowie Dużym i Bratoszowicach, o czym wspominać ze wstręseniem i wdzięcznością. Zauważyłem (nie po raz pierwszy zresztą), że spotkanie autorskie udaje się tam i wtedy, gdy kierownik klubu, świetlicy czy biblioteki jest człowiekiem odpowiedzialnym w swej pracy, przygotowany do niej, odpowiedzialny i wrażliwy. Natomiast nie udają się wtedy i tam, gdzie placówką kulturalną kieruje człowiek przypadkowy, nie rozumiejący wagi i znaczenia swoich obowiązków, wzbawiony orientacji i taktu, lekceważący siebie zarówno autora jak i swoich podopiecznych. Chcę właśnie opisać taki przypadek. Przy ulicy Ciesielskiej znajduje się klub „Metafor”. Mielimy tam półkę razem z Władysławem Rymkiewiczem, ale że towarzyszem zachorował, poszedłem sam. Dzień był zimny i ponury, których w tego rocznym maju było, niestety, sporo. Kierowniczka świetlicy siedziała w swoim pokoiku, w którym było ciepło, i patrzyła w telewizor. Kiedy nadeszła pora rozpoczęcia spotkania, zaprowadziła mnie do izby obszernej, gdzie czekała zebrana młodzież. (Dlaczego telewizor nie znajdował się tutaj, tego nie mogłem wyrozumieć). „To pan się sam przedstawi” — powiedziała, zamknęła za mną drzwi i wróciła do ciepłego pokoiku. W świetlicy wszyscy siedzieli w płaszczach, bo było zimno. Gdy później spytałem kierowniczkę, dlaczego w świetlicy tak zimno, odpowiedziała: „A bo, wie pan, sprzątała ka zapomniała napalić”. (Dziwne, że nie zapomniała zrobić tego w pokoiku kierowniczkim). Więc i ja siedziałem w płaszczu jako że inaczej trudno byłoby wytrzymać. Mimo tych całkowicie niesprzyjających warunków, spotkanie doszło do skutku, a młodzież, która uchodzi za trudną, zachowywała się nienaganie. O ileż jednak wszystko poszoby lepiej i o ileż pełniejszy byłoby pożytek społeczny, gdyby zadano o należytą zorganizowanie imprezy.

Po skończeniu spotkania wróciłem do ciepłego pokoiku, w którym siedziała, ziewając, kierowniczka świetlicy. Czy nie uważa pani, że kierownik świetlicy powinien, po pierwsze, powiadzić młodzież, kto do niej przyszedł, po wtóre, powinien na ten czas być razem ze słuchaczami, bo to i młodzieży i prelegentowi przyjemniej, bo to i przykład dobry (a przykład z góry idzie), wreszcie — kierownik świetlicy winien wiedzieć, kto, co i jak mówi. Wiedza ta jest mu niezbędna dla planowania dalszych akcji i doboru prelegentów. Pomijam już okoliczność, że zwykła przyzwoitość wymaga, aby kierownik świetlicy towarzyszył autorowi w czasie spotkania. Na te moje uwagi, kierowniczka świetlicy odpowiedziała: „Ja, proszę pana, jestem innego zdania”. Cóż było robić, zabrałem się i poszedłem. Ale wzbryłem poprosiłem jeszcze o potwierdzenie mojego po bytu na odpowiednim formularzu. Kierowniczka świetlicy (osoba młoda) była w prawdziwym kłopotcie. „A jak się pan właściwie nazywa?” — spytała. Podaliśmy imię i nazwisko nie bez zdziwienia. Za ledwie przed paroma dniami rozmawiała ze mną telefonicznie, ustalając datę i temat spotkania, winna by więc wiedzieć, kim jestem i jak się nazywam. W domu zerknąłem na formularz: nazwisko nieludzko przekreślone. Głupstwo. Przeboleję. Ale ten ton lekceważenia, absolutnej bez troski, megalomańskiej pewnością, że ona wie lepiej, co należy robić i jak organizować spotkania z ludźmi.

Zdaje sobie, naturalnie, sprawę, że to przypadek jaskrawy. Ale zdaje sobie również sprawę, że nie należy on do rzadkości. Zdarza się, że do prac kulturalnych posyła się pracowników słabych, którzy gdzie indziej nie dali sobie rady. Pracę kulturalną traktuje się jeszcze niekiedy, jak piątą kołową wozu, jak coś mało ważnego, do czego nie potrzeba ani kwalifikacji, ani zamiłowania. Wiadomo, że tak nie jest. Ale rzecz w tym, że nie zawsze wiedz ci, co wiecie powinni.

uczelnia opuściło wielu wybitnych twórców filmowych — nie udało się Łódzkiemu dyplomowi. Lud polski mówi — kto pływać nie umie temu woda za rzadką. To nie rzadka woda, nie zła gleba, nie lokalizacja Szkoły — kryzys w filmie polskim zrodził się z braku ideowości, zaangażowania. To nie gleba lecz ideologia. A w ogóle to Hollywood też nie jest w Waszyngtonie.

Niedziela

Pisałem już w tym miejscu o powstaniu „Estrady Robolniczej” — placówki zajmującej się organizowaniem niedzielnych wyprawczych łodzi. Na inaugurację wybrano szczytliwie właśnie ubiegłą niedzielę. Piszę — szczęśliwie, bo to Dzień Dziecka i chłody się kończą, i w ogóle najwyższy czas. Przyznamy zresztą od razu i bez bicia, że w stowarzyszeniu organizacji „Estrada Robolnicza” była między innymi krótko — zebrano wszystko do kupy i zapięto na przy słowu ostatni guzik w tempie u nas raczej niespotykany. Czuje się w tym ów twórczy element improwizacji i fakt, że robia to ludzie z sercem. Było więc wczoraj jak w piosence „dla dorosłych i dla dzieci” — tańce „hamamowców” i „Stryjek Cap, Klip i Klap”, artyści Fitharmonii i konkurzy z nagrodami, Chaczaturian i Brahms, Dworzak i Moniuszko, „Rapsodia rumuńska” i polski Grek Paulos Raptis śpiewający po włosku... Słowem rozrywkowo przekładaniec. Lekki, wesoły, urozmańcony tak, że każdemu po prostu musiało się podobać. Łódzka „Estrada Robolnicza” wystartowała zatem nie tylko z wdziakiem ale i z głową.

JERZY WIDOK

Muellera — okazuje się że religia żydowska znajduje się w nieporównanie lepszej sytuacji niż prawosławna. Jednakże nie w rachunkach tkwi problem. W Związku Radzieckim, gdzie cerkiew oddzielona jest od państwa, liczba cerkwi, synagog i meczetów określana jest przez duchowieństwo i przez potrzeby wiernych”.

Głównym zarzutem, jaki wysuwa nowojorski rabin, jest istnienie jakoby w Związku Radzieckim „oburzający antysemityzm”, którego dopatruje się przede wszystkim w potępieniu przez ZSRR agresji Izraela na państwa arabskie, a także w publikowanych przez prasę radziecką artykułach, krytykujących reakcyjny charakter syjonizmu. Jakież związku ma — piszą A. Gontar i M. Lew — polityka zagraniczna jakiegokolwiek państwa z problemem narodowym czy rasowym? Odkład to krytykę syjonistycznej ideologii identyfikuje się z narodowością czy rasową dyskryminacją? Takie uogólniające identyfikowanie narodowości żydowskiej z wojskowo-polityczną elitą Izraela i z ideologią syjonizmu jest obraźliwe nie tylko dla milionów radzieckich Żydów, ale i dla wielu Żydów w innych krajach, w tym również w Stanach Zjednoczonych. Swą prowokacyjną rozprawą o „antysemityzmie” w ZSRR, rabin Mueller chce stworzyć „jadowitą atmosferę” wokół tzw. „problemu żydowskiego w ZSRR”.

Niestety, rabin Mueller nie jest w swoich wymysłach osobiście. Od początku agresji Izraela syjonistyczną prasą w USA zalana powódź kłamstw i niepotwierdzonych (bo skąd brać dowody?) doniesień o „antysemityzmie”, „prześladowaniach”, „dyskryminacji” Żydów w ZSRR. Nie rozporządzając rzeczywistymi faktami, które potwierdziłyby podobne wymysły, niektóre żydowskie gazety posuwają się do takiego absurdu, że usiłują, nagrodzone Orderem Lenina autonomicznego okręgu żydowskiego przedstawić jako „potwierdzenia antysemityzmu” w ZSRR, a uroczyście żydowskiego świata religijnego „simhat tora” w moskiewskiej synagodze ukazać jako „demonstracyjny protest” przeciwko „prześladowaniom Żydów”.

W dalszej części artykułu autorzy przytaczają słowa twórcy literatury żydowskiej Mendele Mojer — Sforima „dla nas ojczyzna jest kraj, w którym rodzili się i umierały pokolenia naszych przodków, w którym my sami urodziliśmy się, pracujemy i umrzemy” oraz piszą: „te uczucia zawsze cechowały Żydów Rosji. Nawet wtedy, gdy z powodu prześladowań i pogromów, dokonywanych przez czarnosecznicę w błogosławieństwie carskiej władzy, musieli opuścić Rosję, to zachowali na całe życie — jak Szolem Alejchem — ciepłe uczucia dla swej ojczyzny, dla ziemi swych przod-

ków, dla narodu rosyjskiego i dla innych narodów, wśród których wzrastali, żyli” (...). Żydzi ramie w ramie z przedstawicielami wszystkich narodowości Związku Radzieckiego bronili swej ojczyzny przed najazdem faszystowskim. Razem ze wszystkimi radzieckimi narodami budują komunizm. To ich oddanie ojczyźnie uznają dziś nawet niektórzy, bynajmniej nie sympatyzujący ze Związkiem Radzieckim gazety syjonistyczne w USA. Ale rabin Mueller i w tym względzie jest wierny sobie. Na podobieństwo biblijnego proroka, który wywiódł Żydów z pustyni do ziemi obiecanej, rabin Mueller goręło pragnieniem wyprowadzenia radzieckich Żydów do... Izraela, (on sam postanowił pozostać w USA).

Autorzy artykułu, pisząc o „obłudnym bólu”, z jakim rabin Mueller mówi o tragicznym losie radzieckich Żydów, nie mających możliwości zjednoczenia się ze swymi bliźni w Izraelu”, stwierdzają, że ci Żydzi, którzy chcieli opuścić ZSRR, wyjechali i wyjeżdżają do swych bliźnich — w tym również do Izraela (do czasu zerwania stosunków dyplomatycznych między tym krajem a ZSRR).

W końcowej części artykułu autorzy odpowiadają na skargi rabiego, który boleje nad tym, że Żydzi radzieccy jakoby „zatracałi poczucie narodowej świadomości i nie znali żydowskiej kultury”. Przytaczają artykuł znanego dramaturga Chaima Słowieca, który napisał, że największą istniejącą obecnie żydowską rodzinną literacką stanowią 120 radzieckich pisarzy żydowskich, wśród których jest szereg wybitnych postaci.

A. Gontar i M. Lew dodają, do tego informacji, z której wynika, że w ZSRR — obok literacko-artystycznego miesięcznika SOWIETISCH HEIMLAND — regularnie wydawane są książki żydowskich pisarzy — zarówno w języku idżh jak i w przekładach na język rosyjski i języki innych narodów Związku Radzieckiego. W ostatnich latach książki pisarzy żydowskich osiągnęły nakład ok. 30 milionów egzemplarzy. Wśród nich są utwory Moichera, Szolema Alejchema, Pereca, Bergelsona, Szwazmana, Markisa, Kwitko, Galkina, Fefera, Telfa, Szechtmana Lurijego, Litwycza i innych. W najbliższym czasie ukazuje się w języku żydowskim zbiór utworów prozatorskich ponad 50 autorów, a w ciągu bieżącego roku — nowe książki Josifa, Rabina, I. Gordona, J. Druza i innych.

„Sztuczne rozdmuchiwanie nie istniejącego w ZSRR „problemu żydowskiego” — piszą na zakończenie autorzy artykułu w LITERATURNY GAZIETIE — jest na ręce tym reakcyjnym siłom w USA, które w 1968 roku, ogłoszonym przez ONZ jako rok praw człowieka, chcą odwrócić uwagę Amerykanów od ostrego problemu rasowego, istniejącego rzeczywiście w „wolnym” kraju za oceanem”.

nie nie wiemy na ten temat o okresie powojennym 1945—1948. Praca Marii Klimowicz dotyczy tego właśnie pionierskiego okresu, kiedy po wojnie odbudowywano w Łodzi teatralną aktywność włóknarzy. I to zarówno jako odbiorców sztuki, jak i współtwórców amatorskiego ruchu teatralnego. Temat na pewno ciekawy, żyją jeszcze ludzie, którzy w tym dziele uczestniczyli i warto te sro niec łódzkiej historii ocalić od zapomnienia.

Czwartek

Łódzkiej telewizji już po raz drugi w ostatnim czasie udało się osiągnąć sukces. Nie mają one chyba nic wspólnego z Marianem Łaczem, kiedyś znanym łódzkim futbolistą — dziś warszawskim aktorem — a jednak strzały tajemniczych łęcz są nie do obrony. Zachęcało, zamigalo, i ciekawy program dałby wzięli. Zdarzyło się to właśnie w czwartek, kiedy na pierwszych stronach łódzkiej gazet czytaliśmy „Dzieki magistratowi Łódzi — Warszawa, telewizja polska uzyskała bezpośrednie i szybkie połączenia z telewizją NRD i Eurowizją”. Ucieszyli się łódzki telewizorzyście o tym rano w gazecie — zirykował się łódzki telewizor wieczorem. „Tak to nas biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi” — rzytał przed laty medrec — Boy.

Piątek

Na Syberii mówią — „czterdzieści stopni mrozu — nie zima, sto piorst — nie odległość”. Mają rację — zwłaszcza obecnie, kiedy odzuto wy TU-104 jest tam tym czym dla nas poczciwy „pe-

kaes”. Odbwały się w Łodzi Dni Kultury Radzieckiej Syberii, przybyły nawet delegacje z Irkutcka i Nowosybirsku, w ŁDK otwarto wystawę mówiącą o surowym pięknie tej ziemi. Bliska jest nam Syberia — także Polacy, zesłani z powstania 1863 przyczynili się poważnie do rozwoju jej przemysłu i kultury. I było nam wszystkim jakoś ciepło w sercu i dumnie, że radziecy towarzysze mówią o tym, że wiedzą, że doceniali. A przy tej okazji chciałbym przypomnieć, że nie kto inny jak właśnie łódzki uczonej prof. Wł. Jęswiewiczi spora część swych badań naukowych poświęcił właśnie Syberii i jej związkom z Polską, wkładowi Polaków w jej rozwój. Pisał o tym szeroko w jednej ze swych książek, wydanych już dawno i w małym nakładzie. Książka jest oczywiście praca naukowa, ale czyta się ją jak pasjonującą powieść. I myślę, że warto ją wzmówić, by upowszechnić ten mało znany a ciekawy fragment losów i dokonań Polaków.

Sobota

Znany reżyser i wykładowca łódzkiej Szkoły Filmowej Antoni Bohdziewicz ma szczerolne hobby — swego rodzaju. Ogrodnictwo. Zajmuje się mianowicie problemem gleby na jakiejś hodule sie filmowe talenty. Twierdzi mianowicie Antoni Bohdziewicz, że łódzka gleba nie jest o tymu najlepsza, że byłoby lepiej, aby Szkoła Filmowa przeniesła do stolicy, bo tam istny czarodziejem. Ostatnią wypowiedź reżysera w tej kwestii na łamach „Kultury”, polemika z nim łódzkiej prasy i odpowiedź hobbyisty, skłoniły mnie do refleksji. Czyżby aż tak źle było z łódzka gleba? W ciągu tylu lat mury tej

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

„Takva noc nese se vise ponovid” oraz „Moral gospo de Dulske” — oto sztuki ja kie powiódł do Jugosławii łódzki Teatr im. Stefana Jaracza. Każdy łatwo zgadnie, że chodzi o znaną sztukę Zapolskiej i tańca noc co to się więcej nie powtórzy. Rozpoczęto w ten sposób irwatą wymianę teatralną między Łodzią a Teatrem Narodowym w Zenicy. Warunki tej wymiany przewidują także wymianę reżyserów oraz — co jest chyba najważniejsze — „eksport” polskich sztuk do Jugosławii i „import” utworów jugosłowiańskich do maturgów. Można więc powiedzieć, że wymiana korzy sına dla obu stron, że taka współpraca to nie banialuka... Ale właśnie sama Banialuka. Od tego miasta bowiem rozpoczęto tournée Teatru Jaracza po Jugosławii. Potem były Zenica, Mostar, Dubrownik i Turia, występy dla belgradzkiej telewizji... Łódzkie artystów wszędzie przy mowano niezwykle serdecznie, reakcja widowni, mimo językowej bariery, była bardzo żywa. Zdecydował pewno fakt, że eksponowano tu raczej „Taką noc...” a więc rozrywkę, a przecież rozrywki — piosenki, tańca — nie krepują żadne językowe bariery — jest ona w jakimś sensie międzynarodowa.

Wtorek

Neseber — miasteczko w Bułgarii nad Morzem Czarnym, dawna grecka kolonia Mesembria, podbita przez Lukullusa (tego od słynnej uczy). Właściwie całe miasteczko jest zabytkiem muzealnym i Eugeniusz Kudaj, który tu zeszłego lata fotografował miał do dyspozycji wszystko: hellenistyczne omentaryzka, średniowieczne obwarowania, cerkwie, podcienia, a przede wszystkim słońce i mrok starych ruin. Z tych składników stworzył Kudaj kilkadziesiąt naprawdę świetnych fotografii, które wywarował w Klubie Dziennikarzy. Prace łódzkiego fotoreportera — pion zachwyty nad Neseberem — nasycone są światłem i zatopione w mroku luków i podcieni, techną tajemniczością i egzotyką. I myślę, że tylko czarno-biała fotografia mogła pokazać tak efektywnie, bez lukru i szminki urok Neseberu.

nym, dawna grecka kolonia Mesembria, podbita przez Lukullusa (tego od słynnej uczy). Właściwie całe miasteczko jest zabytkiem muzealnym i Eugeniusz Kudaj, który tu zeszłego lata fotografował miał do dyspozycji wszystko: hellenistyczne omentaryzka, średniowieczne obwarowania, cerkwie, podcienia, a przede wszystkim słońce i mrok starych ruin. Z tych składników stworzył Kudaj kilkadziesiąt naprawdę świetnych fotografii, które wywarował w Klubie Dziennikarzy. Prace łódzkiego fotoreportera — pion zachwyty nad Neseberem — nasycone są światłem i zatopione w mroku luków i podcieni, techną tajemniczością i egzotyką. I myślę, że tylko czarno-biała fotografia mogła pokazać tak efektywnie, bez lukru i szminki urok Neseberu.

Środa

Do kolekcji łódzkiej opracowań teatrológicznych przy będzie nam niebawem nowa pozycja. Będzie to co prawda praca nieco z pogranicza teatru i socjologii kultury, bowiem dotyczy życia teatralnego łódzkie włóknarzy. Otóż na seminarium teatrológicznym Wydziału Filologii UŁ doc. dr Stanisława Kaszyńskiego pani Maria Klimowicz pisze pracę magisterską na ten właśnie temat. Wiadomo, że amatorski ruch teatralny wśród łódzkie robotników zawsze był niesłychanie żywymi i ambitnymi, niewiele jednak lub prawie

Praca dydaktyczno-wychowawcza czy praca naukowa?

Dalszy ciąg ze str. 1

tw. „młodej kadry”, a więc asystentów i adiunktów. Aż do chwili zakończenia przewodu habilitacyjnego wisiła nad nimi zmoza rotacji. Jeśli w czasie określonym przepisami delikwent nie uzyskał tytułu doktora, a później docenta, musiał odejść z uczelni i w zasadzie urządzić się od nowa.

Równocześnie tenże asystent czy adiunkt obok pisania dysertacji doktorskiej, bądź habilitacyjnej musiał prowadzić zajęcia dydaktyczne, sprawować funkcje opiekuna grupy czy roku, zajmować się sprawami administracyjnymi katedry lub zakładu, uczęszczać na zebrania naukowe, brać udział w pracach zespołów itd., itp.

Przy tej różnorodności prac wiedział, że o jego awansie niemal wyłącznie decyduje praca naukowa, a przed doktoratem, a później przed habilitacją musi wykazać się także opublikowaniem artykułów, recenzji czy chociażby sprawozdań. Stąd pogoń za wszelkimi możliwościami druku. A trzeba dodać, że dla pracownika uniwersyteckiego są one mocno, mocno ograniczone.

Chyba trudno dziwić się temu, że młoda kadra uniwersytecka z zazdrością patrzyła i patrzy na doktorantów i habilitantów Polskiej Akademii Nauk. Tam nie było żadnych obciążeń dydaktyczno-wychowawczych, dysertacja figurowała w planie wydawniczym i po obronie z reguły wędrowała do druku, przynosząc i satysfakcję (potomni będą mogli przeczytać) i honorarium.

Wydanie drukiem pracy doktorskiej czy nawet habilitacyjnej dla pracownika powojennego uniwersytetu jest niemal niezrealizowalnym marzeniem. Dobrze jeśli jego trud zostanie powielony w ilości 50-100 egzemplarzy, rzecz jasna bez żadnego honorarium autorskiego.

Pewne szanse druku istnieją tylko dla prac o tematyce regionalnej. W ich wydaniu są bowiem zainteresowane czasami rady narodowe czasami lokalne Wydawnictwa. Trzeba przy okazji podkreślić, iż „Wydawnictwo Łódzkie”, opublikowało kilka prac doktorskich i habilitacyjnych, przyznając się do upowszechnienia „łódzkiej przeszłości” wśród miłośników historii, nauczycieli, studentów i młodzieży szkolnej.

W tej sytuacji asystent i adiunkt uważali często gęsto pracę dydaktyczno-wychowawczą za „smutny obowiązek”, który przeszkadza w awansie naukowym. Do tego dołączały się trudności obiektywne w dotarciu do materiałów.

Np. w Łodzi jest niemożliwością napisanie dysertacji z historii powszechnej, czy najnowszej historii Polski w oparciu o zbiory lokalne. Wyjazdy do innych ośrodków są konieczne. Tymczasem fundusze przyznawane na wyjazdy naukowe dla Wydziału Filozoficzno-Historycznego są śmiesznie małe i poszczególny pracownik może wyjechać raz do roku na 3-4 dniowy pobyt w innym ośrodku naukowym.

Tych trudności nie zna doktorant i habilitant PAN, nie mówiąc już o tym, że rozporządza niewspółmiernie szerszymi możliwościami wyjazdów za granicę.

Jeśli chodzi o sytuację docenta — kierownika zakładu, albo katedry, to jego widoki na realizację zamierzeń naukowych nie są o wiele lepsze (mam na myśli historyka, który nie zajmuje się zagadnieniami regionalnymi). Ta sama trudność z uzyskaniem wyjazdu i nie mniejsze trudności z opublikowaniem już napisanej pracy.

Kiedy musiałem wypełniać formularze do

tyczące planowania badań naukowych, ogarniał mnie „wisielec humor”. Zdawałem sobie sprawę z tego, że „bujam w obłokach” i cokolwiek napiszę ma znikomą szansę realizacji.

Dla historyka, który nie ma oparcia w planie badawczym PAN koniecznością jest najpierw zainteresowanie jakiejś redakcji czy wydawnictwa wybranym tematem, a do piero, mając przyobiecane publikacje, można przystąpić do pracy. Często zaproponowany temat ulega zasadniczej zmianie. Trzeba szybko „przestawiać się” na nieznaną dotychczas zespoły archiwalne, lub „wgrzać się” w mało znaną problematykę.

O ile sprawa awansów doktorantów i habilitantów jest jako tako uregulowana, o tyle awans docenta na profesora stanowi niewiadomą. Ankietywanie kandydatów opiera się prawie wyłącznie na ich dorobku naukowym. Osiągnięcia dydaktyczno-wychowawcze praktycznie niewiele waży, a tempo załatwiania wniosków uczelni przez władzę nadrzędną przesięgnięto powolnością przysłowiowego żółwia.

Nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym ma zarządzić najbardziej nabrzmiałym

bolączkom. Mówi się o złagodzeniu przepływów o rotacji, o możliwościach awansu adiunkta na docenta na podstawie dorobku naukowego i osiągnięć dydaktyczno-wychowawczych. To już bardzo dużo.

Skoro w dorobku naukowym leży się każda, najmniejsza wzmianka w czasopiśmie naukowym, nie mówiąc już o pracach wydanych w formie broszur lub książek, to, moim zdaniem, należy wprowadzić także oceny pracy dydaktyczno-wychowawczej.

W ramach instytutów działających na wyższych uczelniach można, a chyba i trzeba, powołać komisje których zadaniem byłoby przedstawienie do dyskusji materiałów dotyczących pracy dydaktyczno-wychowawczej. Kolegialne wizytowanie ćwiczeń i wykładów prowadzonych przez asystentów i adiunktów także powinno dostarczyć sporo materiałów do dokonania ocen dydaktyki w szkole wyższej.

Poza tym istnieje potrzeba rozbudowania nagród za osiągnięcia dydaktyczno-wychowawcze w zakresie prowadzenia ćwiczeń, wykładów, prac magisterskich, opieki nad organizacjami młodzieżowymi. Dobrze pracujące koło naukowe jest także „wizytówką” kuratora, który potrafił zachęcić studentów do pracy nadobowiązkowej.

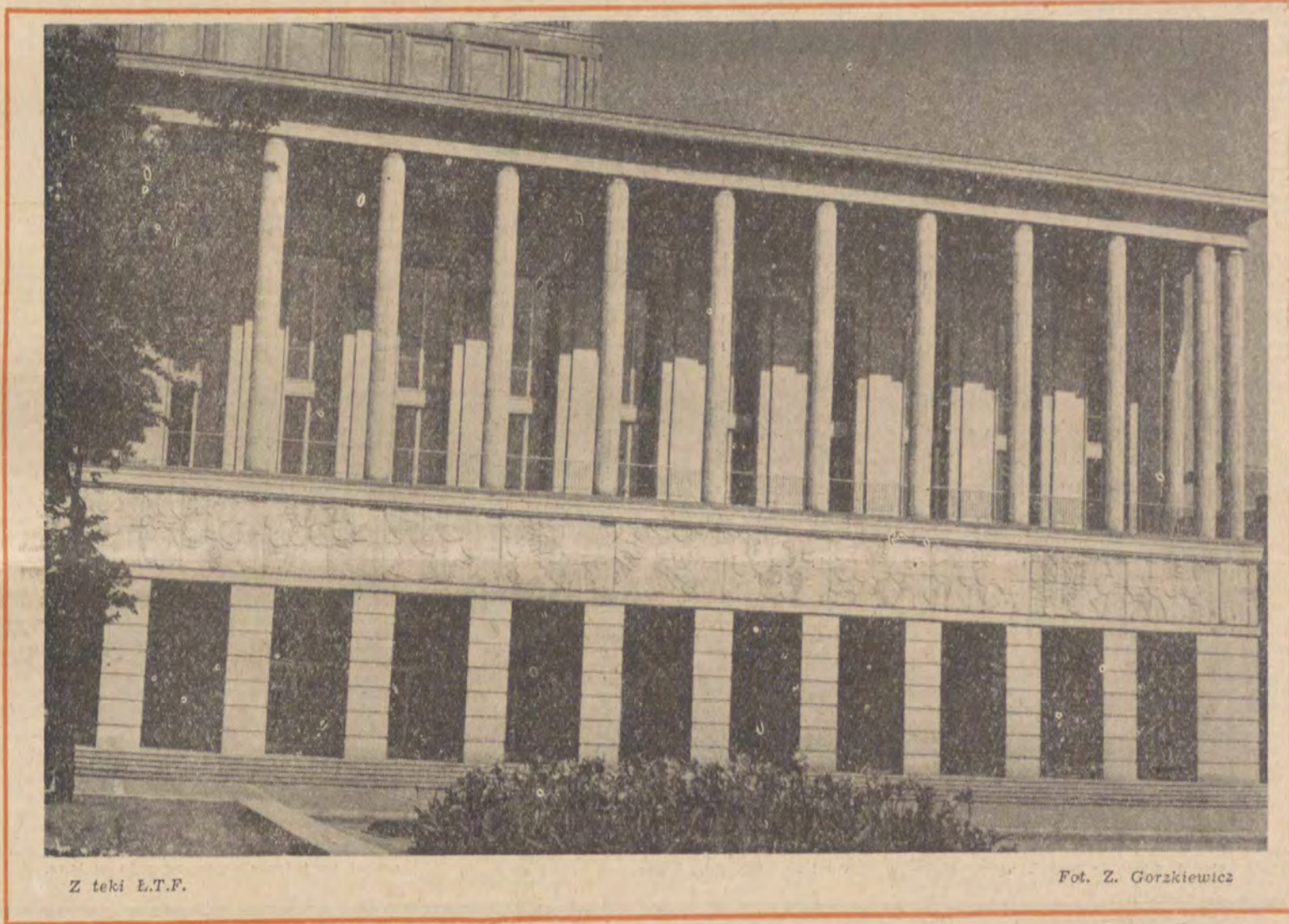
Wyniki egzaminów są niestety dość problematycznym kryterium oceny prowadzonych zajęć. Przyczyny dużych „odsiewów”, lub nadmiaru stopni bardzo dobrych i dobrych tkwią w skali wymagań danego wykładowcy, a sprawowanie różnych wyników do wspólnego mianownika raczej nie przyniosłoby pożądanego rezultatu. Natomiast wnikliwa analiza każdej sesji przeprowadzana przez ogół pracowników dane-

go kierunku studiów, a nie tylko przez Rady Wydziałów, jest chyba jak najbardziej wskazana.

Artykuł dyskusyjny nie może wyczerpać bogatej problematyki koniecznych zmian w pracy szkół wyższych. Jednakże chcę poruszyć jeszcze sprawę kształcenia doktorantów. Przedstawiłem nierówny start pracownikom PAN i asystentów szkół wyższych. W obecnej sytuacji w pełni zasługują na uwagę i dyskusję projekt prezesa PAN, prof. dr. Janusza Groszkowskiego (patrz „Polityka” nr 7, 17. II. 1968). Wybitny naukowiec, a zarazem doświadczony pedagog postuluje jednolity system kształcenia doktorantów, określanych niezbyt szczęśliwym mianem „elity”. Propozycja prof. Groszkowskiego zmierza do powierzenia przeprowadzania przewodów doktorskich „uniwersytetom” wyodrębnionym z zawodowych szkół wyższych. „W orbicie działalności uniwersytetu należałoby włączyć niektóre instytuty badawcze PAN i resortowe, reprezentujące na odpowiednim poziomie dane dyscypliny i biorące udział w procesie badawczym lub dydaktycznym”. („Polityka” nr 7, s. 5).

Na pewno szczegóły projektu są mocno dyskusyjne, natomiast podstawa — równy start wszystkich doktorantów zasługuje na wprowadzenie w życie. Zwiąże bowiem słuchaczy „uniwersytetów” z pracą dydaktyczno-wychowawczą, a równocześnie da im równe możliwości wykazania się uzdolnieniami do pracy naukowej. Dotychczas asystenci wyższych uczelni ubiegający się o uzyskanie tytułu doktora w zakresie danej dyscypliny, tego równego startu nie mieli i nie mają.

WLADYSŁAW BORTNOWSKI



Z teki E.T.F.

Fot. Z. Gorzkiewicz

Nożycami przez PRASĘ

Z FELIETONU

Tym razem z felietonu A. J. Wiercorkowskiego, występującego regularnie na łamach dwutygodnika „Współczesność”. Przyszedł do autora ktoś, kto nigdy nie miał nic do powiedzenia, oczywiście, doszukując się przyczyn swojej sytuacji jedynie w warunkach zewnętrznych. Przyszedł z wiarą, że obecnie „odkryje się”, gdyż ci, co go „nie doceniali”, sami podupadli. Odpowiada mu A. J. Wiercorkowski. Przepraszamy za dłuższy cytatał, ale felietony wyjątkowo nie nadają się do streszczenia. — Przyjacielu — zacząłem ugodowo — w dzisiejszej skomplikowanej sytuacji rewizji podlegają oceny poszczególne zjawiska czy osób, ale nie kryteria wartości. Musi pan to zrozumieć i nolens volens zaakceptować. Mówiąc

przykładowo: orawdzimy osioł nie przestaje być osłem, tylko dlatego, że zdemaskowano pewnego wilka w owczej skórce, który też go tak nazywał, rozumie pan?

— Nie — odparł zdetonowany.

— Powiem przystępniej — zaproponowałem — otóż przetwarzanie klas autorytetów, zanegowanie prawomocności zinstytucjonalizowanej hierarchii rzeczoznawców w sztuce i nauce odbywa się dzięki konsekwentnemu stosowaniu zapoznanych, niestety, kryteriów wartości. Ale właśnie przywrócenie jawności metody logii ocen staje się gwarantem niepopelnienia błędów pochopnego kreowania nowych autorytetów, oceny indywidualnej niemerytorycznej, punktowania za umiejętności li tylko destruktywne, Nadzieja „nie-

udaczników”, że wypełnią pus te miejsca tylko dlatego, że ktoś musi je wypełnić, jest plonna, bo nie po to odsuwa się jednostkę niewłaściwą, aby dać szansę startu jeszcze bardziej niewłaściwej. W tej eliminacji zwycięży nie ten, kto pieprzy, ale ten, kto lepszy, jasne?”

DZIWNIE BEZBRONNI

Widząc wykroczenia w stosunku do norm, oczywistych właśnie dla przeciętnego rozsądku i przeciętnej dobrej woli, jakże często jesteśmy „bezbronni” — dokładniej się wyrażając, bierni. Jeden chuligan potrafi sterroryzować przeważającą większość. Uobdy jesteśmy w zdrowe odruchy spontaniczne, w poczucie więzi nieformalnych. Wejdzie ktoś do wagonu tramwaju lub autobusu, usiądzie ktoś na ławce parkowej z zegarkiem na całej okolicy aparatem tranzystorowym, dziesiątki osób będą się zżymać, ale nikt nie zdoła się zżymać, ale nikt nie zdoła się zżymać, ale nikt nie zdoła się zżymać.

O chuligańskich wybrzykach na Stadionie Dziesięciolecia podczas zakończenia Wyścigu Pokoju napisała m. in. „Trybuna Ludu”. Oczywiście, sprzyjała temu słabość służby porządkowej. Niemiej: „chuligani i pijane wyrost-

ki stanowiły znakomitą mniejszość wśród widzów. A przecież nie było dostatecznej reakcji ze strony samych widzów. Zabrakło po prostu społecznej aktywności i chęci wyeliminowania łobuzów ze swe go grona.

Wszystkie potępiały wyczyny rozrabiaczy, domagamy się surowego ukarania winnych i wycofania wniosków przy organizowaniu innych masowych imprez sportowych. Pewne wnioski wyciągnąć powinni również prawdziwi kibice — od ich postawy na każdym stadionie zależy wiele, często bardzo wiele.

Od naszej postawy jednak wiele zależy nie tylko na stadionach.

PATRIOTYZM NA CO DZIEN

I jeszcze o bierności, ale w sposób nadający temu pojęciu jak najszerszy zakres. O potrzebie odruchu samobrony w społeczeństwie. Pisze o tym Tadeusz Myślik w „Tygodniku Powszechnym”.

„Brak kultury w dużym wieku szym stopniu hamuje wzrost Rzeczypospolitej niż najpoważniejsze trudności materialne. Od poziomu kultury ogólnie uzależniona jest funkcjonalnie kultura pracy, a więc kultura produkcji, kultura handlu

czy eksportu, postęp techniczny, czyli jedyna szansa na utrzymanie się na liście uczestników w wyścigu do nowoczesności. A dalej, kultura prawna, kultura administracyjna, od której uzależniona jest realizacja zasad praworządności i demokracji, prawidlowe funkcjonowanie regulatorów społecznych. Rejestr potrzeb i braków w tym zakresie jest znany; podobnie jak i skutki funkcjonujących, jak w każdej innej dziedzinie sprzężeń zwrotnych. Dochodzą do tego jeszcze plagi społeczne: alkoholizm, chuliganstwo, kradzieże, łapownictwo, biurokracja...”

I znowu:

„Najgroźniejsza w tym wszystkim jest jednak bierność części społeczeństwa, która nie chce lub nie potrafi zdobyć się na odruch samobrony, uważając widocznie, że jej to nie dotyczy, że są to sprawy czyjeś, jakichś nie określonych bliżej profesjonalistów”.

OKIEM ZZA KÓŁKA

Andrzej Wróblewski z „Życia Warszawy” w jedną z ubiegłych niedziel, czyli krwawymi dożynek — przejechał swoim wozem ze dwieście kilometrów jedną z najbardziej ruchliwych szos, wiodących

do stolicy. Na szosie tradycyjnie widział najróżniejsze przejawy niesubordynacji pieszych i kierowców, jednak:

„Na całej dwustukilometrowej szosie spotkałem tylko jeden patrol MO. Samochód z radarem stał w miasteczku, przytulony do kiosku „Ruch”, a milicjanci lupili mandaty każdemu, który przekroczył 50 km/godz. Szczęśliwie nie przekroczyłem. Następnego dnia przeczytałem w gazecie, że w ciągu tej soboty i niedzieli zginęły na szosach 24 osoby”.

Przy okazji upomnijmy się o służbę ruchu choćby na dwóch ruchliwych skrzyżowaniach naszej Piotrkowskiej. Jej dłuższa nieobecność doprowadziła do tego, że niektórzy kierowcy, wśród nich kierowcy taksówek, lekceważą sobie wszystkie, przekraczają jeżdżąc nieraz w popłochu, mało kto zwalnia przy zakrętach. Od kilku miesięcy polazdy z reguły nie zatrzymują się na przejściach, niekiedy w wyraźnej złościwy sposób Rzeczowe uwagi struchlałych przechodniów spotykają się z wyzwiskami.

JAN OLECHNO

Egzekucja

— Czemu ten okropny dzień zaczął się jak inne?

O to właśnie pytał mnie szepcem tamten stary człowiek ze Zgierza. Stał się wtedy obok siebie, drząc z mroźnego chłodu, w tłumie mieszkańców miasteczka. W tłumie sześciu tysięcy Polaków, spędzonych na plac egzekucyjny po to, aby po śmierci tamtych Stu Rozstrzelanych pozostał wprawdzie żywi, lecz już do końca życia także w pewien sposób o z s t r z e l a n i. Zdolni tylko do szeptego posłuszeństwa, porażeni na zawsze widokiem śmierci tamtych Stu. Z rozstrzelaną wolą oporu wobec wroga, z rozstrzelaną nadzieją na przetrwanie, na zwycięstwo narodu. Może wtedy dokładnie tak nie myślałem, ale coś z tych myśli musiało powstawać w mojej głowie. Zapewne także w siwej głowie starego człowieka, obok którego wchłaniał mnie w tłum brutalny zgierski Volksdeutsch.

— Los, Schweine Polaken! Los, polnische Bande!

Staliśmy więc nieco od pośpiechu zdyszani, obok nieznanego mi, starego człowieka. Wiedząc już o zbliżeniu się czasu egzekucji, lecz jeszcze nie mogąc jej zrozumieć. Tych Stu Polaków Niemcy postanowili zabić jedynie za to, że inny nieznanym im Polak zastrzelił dwóch gestapowców. W odwecie im instynkcie obrony własnego życia.

— Los, verfluchte Polaken!

Słuchałem niemieckich wymysłów, zdumiony ich logiką. Zdumiony logiką Niemców z dalekiej Rzeszy, którzy przyjechali grabić mój kraj po napaści Hitlera i logiką Volksdeutschow, jedzących polski chleb już wcześniej. Oni przeklinali tylko za to, że nie byliśmy nimi. Ze od tysięcy lat mieliśmy tu nasze domy, pola, kraje, nasze dziewczyny, żony, matki, dzieci. Ze czuliśmy w sobie to coś, co nazywano przywiązaniem do swojego. Ze kochaliśmy słowa honoru, ojczyznę. Przeklinali nas, bo udało się im nas poblić i ograbić. Bo nawet cnie cywilizowane narody u b i a n i e n a w i d z i c i t y c h, k t o r y c h o g r a b i ł a n a l u b j u o g r a b i ł y.

— Losos!

Ten krzyk niemiecki towarzyszył mojemu narodowi przez całą okupację. I nienawisć, jaką wyczuwałem we wzroku, w brutalnym głosie zgierskiego Volksdeutscha. Wtedy, na śmietniku miasteczka, zwanym placem stodoł. Gdzie kazano mi stanąć w zbiedzonym tłumie Polaków choć do Zgierza przybyłem tylko przez przypadek. Popędzany kolbą karabinu, wszedłem więc w polski tłum. W zbiedzonym tłumie z miasteczka, spędzany tu już od godziny trzeciej nad ranem. Wyciągnęły z łózek, z porannych tramwajów, z ciemnych bram domów. Poganiany przez waskie uliczki kolbami karabinów. Bity przez Niemców w mundurach i cywilnych. Przez tych z Rzeszy i tych, co od lat żyli w tym miasteczku razem z Polakami.

— I oni przez tyle lat żyli tu razem z nami! Przypuszczam, że o tym musiałem tylko myśleć. Ale wtedy zdawało mi się, że to był także szepcący tamtego starego człowieka, stojącego wciąż obok mnie. Na tym placu stodoł, w małym — podziadkiem — miasteczku, gdzie wśród miejskich uliczek stały dwie stodoły i gdzie sypiano miejskie śmieci. Wybor takiego miejsca śmierci dla Stu Rozstrzelanych podkreślał jeszcze wyrachowane okrucieństwo egzekucji. Miał umrzeć na śmietniku. Ten Wspaniały Świat Niemców pragnął upokorzyć w naszych oczach nawet polską śmierć. Na którą miałem patrzeć razem z nieznanym mi starym człowiekiem. Z sześciu tysięcy mieszkańców miasteczka. Z setkami niemieckich policjantów i żandarmów, z tysiącami zgierskich hitlerowców. Z tłumem cywilnych Niemców i Volksdeutschow z niedalekiej Łodzi. Którzy zjechali tu podmiejskimi tramwajami jak na niedzielna wycieczkę lub festyn, a podczas egzekucji klaskali w dłonie.

— To potworne, prawie nie do uwierzenia. Nie dziwiła mnie taka reakcja u ludzi, którym później opowiadałem o tej egzekucji. Dla mnie była ona wtedy także nie do uwierzenia. A jednak nie wiarogodne spełniało się w moich oczach. Po dwóch godzinach drewnianego oczekiwania, niby w koszmarnym śnie, na plac stodoł zajeżdżały powoli cztery cięż-

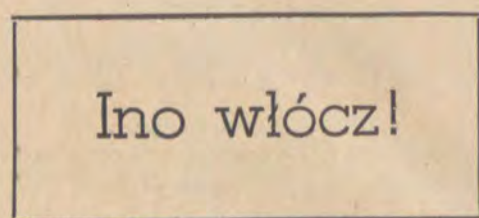
rowe samochody. Wiozace Stu Rozstrzelanych, którzy wtedy jeszcze Rozstrzelani nie byli. I ciągle stojąc w sześciotysięcznym tłumie Polaków patrzyłem, jak do tego tłumy podchodził sześciu Niemców w mundurach partii hitlerowskiej. Potem słuchałem niemieckiej mowy jednego z nich. Słuchałem usłusznych słów Niemca-tłumacza, który słowa tamtego powtarzał po polsku. Aby sześć tysięcy Polaków, stojących pod strażą maszynowych karabinów i tysiąca uzbrojonych Volksdeutschow, lepiej pojęło zasady masyowego odwetu, kającego mordować stu niewinnych za jednego, który także był winien tylko według nieludzkich praw Świata Niemców. I ciągle niby w koszmarnym śnie, patrzyłem na pierwszych piętnastu z tamtych Stu. Ustawionych przed grobą z ziemi, usypaną na śmietniku, za którą zólić się jeszcze ochronny wał ze słomy. Ustawionych z rękami, związanymi na plecach sznurem, połączonych z sobą już nie tylko długą liną, przeciągniętą przez te wszystkie związane na plecach ręce. Ale także oddechem bliźniej śmierci, spoglądającej lepiej pojęło zasady masyowego odwetu, kającego mordować stu niewinnych za jednego, który także był winien tylko według nieludzkich praw Świata Niemców. Z wymierzonych do śmiertelnej salwy karabinów.

— Przedtem więziono ich w Radogoszczu. Później opowiedział mi o tym ktoś, kogo w tym czasie również tam więziono, lecz następnie uwolniono. Dzieki temu wydawało mi się nawet że to nie on, a ja sam nachyliłem się przy oknie w sali w Radogoszczu. Przy małych, fabrycznych szybkach, zamazanych na białe, aby przez nie nie można było zobaczyć dziedzinca. Pomimo tego mój znajomy nachylił się ku małej szybie z zeszkobana miejscami farbą. I choć groziło to zastrzeleniem przez strażnika z dziedzinca spoglądającego z trzeciego pietra właśnie tam. Gdzie z aut gestapo wyskakiwali właśnie Ci Co Miel. Byli Rozstrzelani. Których zabito wkrótce w Zgierzu, ciała wywieziono w mroźny dzień do pobliskich lasów. A tam kazano je więźniom-Polakom zruczać do głębokiego dołu. Potem, jakby tych Stu Rozstrzelanych polskich ciał nie zamykało ich rachunku, Niemcy kazali stanąć na brzegu dołu jeszcze kalece bez nogi. I zabili go samotnego strzałem w tył głowy. Ale na razie tych Stu, Jeszcze Nie Rozstrzelanych, przywieziono autami do obozu w Radogoszczu. Aby przyleżli tam swoją porcję cierpienia. Aby biegać wśród bijących ich strażników, ustawiali się w szeregu, a potem znowu biegli do wyznaczonej im w fabryce sali, przez szpalier gestapowców. Znowu w tym biegu pochylając się nisko aby bijące ich trzcinicy i patki nie spadały na odkryte głowy. A przez ten okrutny szpalier musieli przebiec lekarz i tramwajarz. Piękna młoda dziewczyna, co być może dopiero czekała na swoją wielką miłość, i starzec z dostojną brodą, co przyleżał już swoje wszystkie miłości. Robotnik w podartych półbutach, co nie chodził do kościoła i modlący się do końca księdz. Musieli przez ten szpalier przebiec pozostali ze Stu Rozstrzelanych, z którymi Niemcy chcieli rozstrzelać woje oporu w nas wszystkich. A przedtem chcieli ją rozstrzelać w samych Stu. Aby ich p o m i e j s z y c i do wybranej dla nich śmierci na śmietniku.

Najpierw więc przeraźliwy krzyk starego człowieka, stojącego obok mnie, potem jęk. Zrywający się jak powiew wiatru, groźny jęk sześciotysięcznego tłumy. Patrzącego na śmierć tamtych spod wycelowanych w ten tłum maszynowych karabinów. Ale przedtem przesyłem w nagłym skrócie, razem ze Stu Rozstrzelanymi ich nieznane mi życie. Może zresztą przyleżał je później, kiedy przed grobą z ziemi, za którą zólić się jeszcze wał przybrudzonej słomy, padł ostatni szereg ze stu. W moich wspomnieniach jednak to, co myślałem o tych śmierci, przesuwało się zawsze na te chwile przed hukiem pierwszej egzekucyjnej salwy. Wydawało mi się bowiem, że oni właśnie wtedy musieli myśleć o swoim życiu. Nie o nadchodzącej śmierci, lecz o odchodzącym życiu. Musieli z czegoś dawnego się cieszyć, czegoś zatować. Swoich bliskich, jakichś spraw drobnych lecz niedokończonych. Równie dobrze jednak mogli myśleć o historii swego narodu, upartej walce o przetrwanie i o jego przyszłości. Byłem prawie pewien, że tak musieli chyba myśleć przed śmiercią mężczyzna w podartych półbutach. O którym ktoś potem powiedział, że był robotnikiem w jakiejś łódzkiej fabryce, który co rano śpieszył do niej z butelką herbaty i chlebem w starej gazecie. Podczas okupacji i dawniej, przed wybuchem wojny, który dawniej czytał gazety socjalistów w fabryce słuchał komunistów, czasem strajkował, kłął fabrykantów i nie chodził do kościoła. Ten robotnik w podartych półbutach musiał swój kraj uważać za urządzony źle. Pomimo tego bronili go we wrześniu przed Niemcami zaciekle. Potem zapewne bronili go przed

nimi w konspiracyjnej organizacji. Niedaleko niego stał godny starzec, z dostojnie siwą brodą, w wizytowym czarnym, ubraniu, w czarnych błyszczących lakierkach. Który zapewne sądził że nasz kraj był urządzony raczej dobrze. Dumny starzec, który zanim zaczął patrzeć w niebo martwym wzrokiem zabitego, musiał z przedśmiertnym przeżywaniem swojego długiego życia bardzo się śpieszyć. I chyba niewiele z niego zostało. Najwyższe tego, że naprzeciw swej starczej śmierci musiał stać z wiązany, nie mogąc przed nią się bronić, ani jej przyspieszyć. Tego samego zapewne zatował znajomy mi lekarz. Co miał mieszkanie w dzielnicy willowej, wielu pacjentów i ładną żonę. Co przez trzydzieści lat, w szpitalu bronili śmierci dostępu do chorych, albo ją opóźniał.

Najpierw więc usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk starego człowieka, potem jęk. Zrywający się jak podmuch wiatru, ciężki od zbiorowej rozpacz jęk sześciu tysięcy, patrzących na śmierć Stu. Na śmierć pierwszych piętnastu, ustawianych pod usypaną z ziemi grobą, za którą zólić się wał przybrudzonej słomy. Powiązanych z sobą długą liną połączonych nie nawet teraz, kiedy zostali rozstrzelani. Kiedy leżeli na śmietniku, rozstrzelani. Kiedy kreślił, choć jeszcze z niego nie ostrygli. Patrzyłem na nich, nieruchomy jak oni. W sześciotysięcznym polskim tłumie, także zniechęconym do zbiorowo przeżywanego bólu. Patrzyłem ciągle niby w koszmarnym śnie, niemożliwym do przebudzenia. Patrzyłem na tłum Niemców, oklaskujących pierwszą salwę. Na niemieckiego lekczarza w białym mundurze SA. Na to jakie spokojnym równym krokiem idzie wzdłuż szpalier ciał, rozrzuconych na śmietniku. Widziałem jak zwracając się przed robotnikiem w podartych półbutach, mimo karabinowej salwy tylko rannym, i wskazuje ręką w jego kierunku. Widziałem, jak posłuszny gestowi lekarzkiej reki, zbliża się oficer SS. Nie po to, aby go opatrzyć, lecz aby z kabury przy pasie wyjąć pistolet, przyłożyć go obolętnie do głowy rannego, rozpuścić mu czaszkę wystrzałem. Potem, ciągle jak w majakach koszmarnego snu, patrzyłem na śmierć następnego. Stali wyprostowani pod grobą z ziemi, za którą zólić się ciągle ten sam wał przybrudzonej słomy. Stał znowu w piętnastu, ponieważ wał ziemi był zbyt krótki, aby pod nim można było rozstrzelać na raz Stu. Może zresztą przez to stopniowanie chciano w nas i w Rozstrzelanych przedrzeć strach przed tym masowym konaniem. Przed rytuałem śmierci na śmietniku, której ten sam wleciał oficer SS po każdej salwie plutonu egzekucyjnego, musiał p o m a g a ć. Strzałem z pistoletu, przykadanego do głów nie zabitych — mężczyzn i kobiet z taką spokojną precyzją. Jakby dobijanie było dla niego czymś równie normalnym jak poranne mycie. To sprządzenie w tym Niemcu rytuału zadawania ludziom śmierci do czynności niemal fizjologicznych, spełnianych z automatyzmem na wyku, przeżarło mnie w nim najbardziej. Bardziej niż ślepe wykonawstwo w zabijaniu, u Niemców z plutonu egzekucyjnego. Co posłusznie zabijał prowadzone kolejno pod grobą grupy Tych Co Miel. Był Na Rozkaz Rozstrzelani. Ale przerażało mnie także to posłuszeństwo rozkazowi, z jakim zabijali. Z jakim zabili robotnika w podartych półbutach, który mówił, że nasz kraj był urządzony źle. Z jakim zabili godnego starca z siwą brodą, spod wycelowanych w ten tłum urządzony raczej dobrze. Z jakim zabili trzy kobiety, ubrane w żałobną czerń i młoda dziewczynę. Która być może czekała na miłość, i która mógłby pojechać na długo, gdybym ją spotkał wcześniej. Zamiast tego kazano mi patrzeć na jej martwe ciało, leżące na grobie w naszym łódzkim miasteczku. Na piękna niekiedy twarz, z wyrwaną przez kule szczeka zasługująca w chłodnym mroźnym powietrzu. Na jasne włosy opadłe z ramion na udeptane śmietniko, na wysmukłe nogi w wysokich cholewkach czarnych śniegowców. Patrzyłem na nie, ciągle stojąc w polskim tłumie, obok starego człowieka, teraz już z przerażenia zamkniętego, i czulem jak we mnie wzbiera nienawisć. A oni wleciał posłusznie strzelali. Strzelali swoimi strasznymi salwami, zawsze na komendę oficera, z bezduszną dokładnością automatów, odzwoleczonych wojskowym dryblem. Strzelali teraz do łódzkiego tramwajarza, który chciał zbudować sobie domek na przedmieściu. Do księdza, pomimo sutannę związanego również sznurem. Do polskiego lekarza, który w szpitalu bronili śmierci dostępu także do chorych Niemców. A w Dniu Rozstrzelania Stu Polaków umarł na tym placu stodoł z podnieścionym czołem, patrząc prosto w lufy niemieckich karabinów. Zapewne do ostatka wierząc, że człowiek winien walczyć również o ostatnie sekundy życia. Nawet gdyby no niej czekał go jedynie zbiorowy grób w lesie.



Cóż, dziedzic się nie godził. Prawie wszystkie grunty należały do niego, oprócz tych gromadzkich łąk nad Pilicą. Wzgórze, na którym od wielolet lat, od jedenastego ponoc wieku, stał mały warowny kościółek świętego Idziego, też było dworskie. Więc choć u stóp tego wzgórza najlepsze, najpłodniejsze było miejsce dla wybudowania pieca z poruszanym wodą miecchem, co by ruda w żelazo najczystsze przetapiał, przedzie bez zgody właściciela nic tu się dzieć nie mogło i niedawno założona spółka musiała skapitulować. Zrezygnowała więc z upatrzonemu miejsca, ale nie z postawienia pieca. Na czele spółki stał generalny probierz górniczy na Królestwo Polskie, inżynier Henryk Kaden, za granicą na wielu akademiach kształcony, a i krajowi już niemało zasłużony, choćby i postawieniem pierwszej kopalni i wytopialni srebra w Białogonie. Jeśli więc inżynier Kaden stwierdził po przeprowadzeniu szeregu badań, że w Inowłodzu jest ruda żelaza i że jej wydajność powinna opłacić zainwestowane kapitały, to nie było powodu do wahań. Wybrano miejsce trochę poniżej miasteczka, mniej więcej tam, gdzie dziś brzeg umocniony groblą chroni stojącą na uboczu pretensjonalną willę „Urbanówkę”. Wykopany kunsztownie kanałem doprowadzono do rzeki wodę i choć sam pan Kaden miał niejakie obiekcje — piec pobudowano, aby jak najprędzej do roboty — no i do zysków — przystąpił. Niestety, wiosna tego 1835 roku była w deszcze bogata, burzliwa. Gładko płynąca Pilica wezbrała gwałtownie którejś nocy tak, że rozniósła święte jeszcze umocnienia kanału, porzywała zapory, zniweczyła całą pracę spółki hutniczej. Pierwsza huta żelaza w Inowłodzu istniała więc ledwie kilka miesięcy, jej pechowi założyciele już w te strony nie wrócili, została przecież po nich powtarzana uparcie opinia, że „ruda tam w dużej ilości i dobrym gatunku”.

Zjawiała się więc w trzydzieści parę lat potem nowa spółka, z przemysłowcem warszawskim, Silbersteinem, na czele. Ci nie oglądali się już na siłę niesfornej Pilicy. Pobudowali hutę o napędzie parowym, jako że był to właśnie szczytowy moment „stulecia pary”, XIX wieku, Pobudowali ją w najwyższym punkcie Inowłodza, z kominem widocznym z daleka ponad lasami, otoczony groźnym, potężnym murem. „Warszawski Tygodnik Ilustrowany” specjalny też hućce artykuł poświęcił, nawet z dokładnym rysunkiem przemysłowego urządzenia, pozwalającego wykorzystywać przy produkcji gazy, powstałe ze spalania węgla drzewnego. Maszyni wszystkie wykonane były w fabrykach krajowych, nawet i owo urządzenie, które zdanem autora artykułu — zagranicy wzorem służyć by mogło. Huta pracowała dosłownie pełną parą i wytopiała rocznie prawie 25 tysięcy pudów surówki, czyli po naszymu około 400 ton. A był to, jak powiada kronikarz, „czysty odlew maszynowy, bardzo piękny”. Ale i tą hutą niezbyt długo chlubił się przastary Inowłódz. Co prawda rzeka jej nie zniszczyła, Zniszczyły ją taryfy kolejowe: były na obszarach cesarstwa rosyjskiego tak niskie, a robocizna w głębi Rosji, w uральskich minach, tak tania, że bardziej opłaciło się przywozić rudę stamtąd niż wydobywać ją na miejscu, w kraju.

Meteorologia z martwychwstania

Piętra i przeraźliwie długie korytarze sądu; dziesiątki grubych, dębowych drzwi, wśród których trudno znaleźć te właściwe z tabliczką: „Referat penitencjarny”. Słowo „penitencjarny” dopisano jakby w pośpiechu, atramentem, co świadczy, że i sam referat o tej nazwie powstał niezbyt dawno. W przyszłości, kiedy instytucja okrępcie, wejdzie pewnie w użycie termin: sąd penitencjarny — informuje nas gospodarz gabinetu wskazując ręką krzesło, aby się rozgościł.

Nic tu nie przypomina sali rozpraw: nie ma barierki dla świadków ani ław dla stron procesowych. Jedynie porządkowane na biurku tecki papierowe z nadrukiem „Akta w sprawie karnej” niedwuznacznie określają kierunek zainteresowań referatu.

— Chociaż to jednak chyba bardziej złożony problem — zauważa sędzia Leon Gruszk i zaczyna cierpliwie tłumaczyć. Robi przerwy ułatwiając nam sporządzenie notatek, jakby dyktował protokół; z każdego jego słowa i gestu przebija doświadczenie wytrawnego sędownika.

Ma za sobą wiele lat pracy zawodowej, chociaż pierwsze swoje samodzielne kroki stawiał jako nauczyciel wiejski. Zresztą nie miał warunków na natychmiastowe podjęcie wyższych studiów. I wtedy przeczytał w prasie notatkę o utworzeniu w Warszawie Wyższej Szkoły Prawniczej im.

Duracza. Zdecydował się w jednej chwili. Skierowanie na studia otrzymał ze Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, internat i stypendium zapewniała szkoła.

W roku 1950 opuszczał Warszawę z dyplomem i mocnym postanowieniem kontynuowania nauki. Pierwszy stopień studiów prawniczych nie zadowalał go, miał ambicję uzyskania magisterium. Prosił więc o skierowanie do miasta uniwersyteckiego i w ten sposób świeżo upieczony absolwent szkoły Duracza znalazł się w Łodzi jako asesor sądu powiatowego. Musiał godzić naukę i pracę, wstąpił na czwarty rok wydziału prawa.

Prawniczy chrzest przeszedł w sądzie rewizyjnym. Dzięki temu łatwiej mu było zwalczyć treść, kiedy po raz pierwszy przekroczył próg sali rozpraw. Wiedział, że nie orzeka sam, wiedział, że obok niego za stołem sędziowskim zasiadają doświadczeni prawnicy, ukradkiem obserwowali swego patrona. Zazdrościł mu opanowania, pewnością siebie.

Nadszedł taki dzień, kiedy sam jeden musiał udźwignąć ciężar prowadzenia sprawy. Szedł do sądu z ciężkim sercem; doznał uczucia, że tego tamuje mu ruchy, ciężki łańcuch sędziowski kłut szyję. Słyszał już te pełne zawilości wywody adwokatów, na które, być może, nie potrafi znaleźć odpowiedzi, czuł zawczasu skupiony na sobie wzrok sali, przewidywał pytania prokuratora. Bał się tej ogromnej odpowiedzialności za los człowieka, który miał stanąć przed sądem, bo wiedział, że o jego losie, o losie oskarżonego będzie musiał rozstrzygnąć.

Dziś Leon Gruszka nie pamięta tej pierwszej, samodzielnie przez siebie osądzonej sprawy. Był to jeden z tych tuzinkowych stanów faktycznych, które, w różnych co prawda modyfikacjach, zjawiają się niemal permanentnie na wokandy.

— Powiedziałem sobie wtedy, jak w tym przysłówku: Nie święci garnki lepią — uśmiecha się sędzia Gruszka. — Kontrolowałem każdy swój ruch, każde słowo.

Orzekanie stosunkowo szybko pozwalał uzmysłowić sobie też niemal banalną prawdę, że prawa można się nauczyć, natomiast wymiaru kary nauczyć się nie da.

Sędzia przerywa, nie po to jednak, aby nam ułatwić notowanie. To nie zwykła, techniczna pauza — to raczej namysł. I kiedy po chwili znowu zaczyna mówić, jego głos, nie tracąc na wyrazistości, jest jakby odrobinę ściśszony. Ponieważ, mimo ogólności wypowiedzianych uwag, jest to zwierzenie, osobiste zwierzenie.

Mówi, na czym polega twórczy charakter pracy sędziowej, o indywidualizacji prawa i indywidualizacji kary. Kary, która nie może być prostym odwetem, aktem zemsty. Ani też samym tylko ostrzeżeniem. Mówi o karze, która broniąc społeczeństwa, odradza jednocześnie złąkany jednostce.

Jako sędzia orzekający często poddawał się zwątpieniu. Świat oglądany zza sędziowskiego stołu pozbawiony jest na ogół urody. Widział stamtąd niemal wszystko, co może zobaczyć człowiek. Wydawało się, że wymierzając sprawiedliwość przywraca równowagę w świecie, a tymczasem, na kolejnej sesji stawał przed stołem sędziowskim nowi przestępcy albo co gorsza recydywiści, których kara nie zdołała naprawić.

Do domu wracał zmęczony. Zwłaszcza procesy o nadużycia gospodarcze budziły wiele trudności natury prawnej i dowodowej, a ciągnęły się przez kilka, kilkanaście dni. Sąd powołuje wprawdzie biegłych, którzy mogą pomóc w wyjaśnieniu sprawy, ale rozstrzygnąć musi sędzia. W latach pięćdziesiątych malwersanci wyprzedzali doświadczenie sądów i organów ścigania, stawali pojedynki słowne z biegłymi, znali doskonale każdą lukę w sformułowaniach ustaw.

W tym czasie sądownictwo przeobrażało się, przywracano praworządność, reformowano przepisy i instytucje. Po październiku 1956 roku resort wyziennictwa, zaczął pod-

legać Ministerstwu Sprawiedliwości. Nie było to tylko formalne przesunięcie administracyjne, wiązało się z potężnym silniejszym akcentem na procesy wychowawcze skazanych. Od tej pory obowiązek nadzoru nad wykonaniem kary spoczywa na sądzie; i w ten sposób powstała instytucja referatów penitencjarnych.

Leon Gruszka już od kilku lat kieruje takim referatem w Sądzie Wojewódzkim dla m. Łodzi. Nominację przyjmował z obawą. Zdawał sobie sprawę, że zostanie odceniony od orzekania, które stanowi istotę sądowniczej pracy, a przy tym obawiał się nowych problemów. Więziennictwo, niegdyś odgręzione od kontroli społecznej grubymi i wysokimi murami zakładów karnych, stanowią, nie tylko dla sędziego Gruszki, prawdziwą ziemię nieznaną.

W tym czasie wiedzę o więzieniach można było czerpać tylko za pomocą lektury. Literatura fachowa teoretyzowała, plastyceznafaktografię przedstawiała utwory beletryne, chociaż były to wiadomości w dużym stopniu bałamutne. „Hrabia Monte Christo” Dumasa jest książką zbyt już anachroniczną, podobnie jak wstrząsające „Wspomnienia z domu umarłych” Dostojewskiego mimo swej nieprzemijającej wartości literackiej.

Kiedy sędzia Gruszka obejmował swoją nową funkcję, przypuszczał, że kierują go do pracy w „domach umarłych”. Wiedzenie ma zawsze przynęcającą scenę i złowrogię to dźwiękowe zatraskiwanych żelaznych furt.

Zdziwiła go odmienność wyobrażeń o atmosferze więzień, od tego, co za wysokimi murami ogrodzeń dzieje się naprawdę. Mógł teraz wyjaśnić wszystkie swoje wątpliwości z przewodów sądowych, mógł namacalnie przekonać się o skuteczności wymierzonych wyroków.

Więzienie może być uniwersytem przestępczości, w jego murach, pod czujnymi, zdawałoby się, oczami strażników, mogą

Starzy ludzie w Inowłodzu wiedzą, że była tu kiedyś żelazna huta, niezbyt tylko są pewni, w którym mianowicie miejscu. Dziś śladu po niej nie ma, oprócz owego zapisu w Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego: „Istniały tu dawniej kopalnie żelaza, wapna, gipsu i kamienia”. Istniały.

Młody człowiek, świeżo zwolniony ze służby wojskowej, gryząc łyżkę nasturcji powiada: tu by się jakiś przemysł przydał. Tu podobno ruda jest — ciągle próbują, widać za chuda.

Może być. Jeżeli w Leczyca ruda bogatsza, to oczywiście i jasne jest, że kopalnie będą powstawać tam, nie w małym, spokojnym Inowłodzu. Tu na razie kopie się tylko kamień wapienny: u stóp wysokiej białej ściany, na szczycie której gęsto zieleni się młody las, postukują kilofy, pare wagonetek powoli, pojedynczo, sunie do rzeki i z powrotem. W czasie przerwy robotnicy podkładają łokcie pod głowy i śpią w cieniu drzew, albo kiblicia jakiemś zablakaniem tu wędkarzowi. Z pobliskiego Teofilowa niesie się po wodzie gwar i śmiech, klaskanie i śpiewy: to kolonia łożdźkich, robotniczych dzieci.

Mieszkańcy miasteczka, których liczba od wieluset lat prawie że nie uległa zmianom, to oprócz kilku rzemieślników, urzędników z biura Samopomocy, lekarza, aptekarza i księdza, ludzie żyjący z rolnictwa, z mozolnej uprawy niewdzięcznej, piaszczystej gleby.

Istnieje nawet legenda, że nazwa miasta wzięła swój początek z zawoiana: „Ino włócz!” — znaczy, że niby tylko bronują a bronują, żeby coś wreszcie wyrosło. Prawdziwego zaś rodowodu tej nazwy trzeba by w zamierzonych czasach szukać, skoro już w łacińskim skrypcie zapisanych dokumentach z XI wieku brzmi tak samo jak dziś: Inowłódz. Już wtedy był to królewski gród, na trakcie do potężnej Radomskiej puszczy leżący, co „prawdziwym zbiornikiem wosku i zwierzęcych łupieży” była. Trakt ten łączył Toruń z Sandomierzem i wiele razy królewskie orszaki w różnych częściach okresach tędy przeciągały, w Inowłodzu na popas stając. Kazimierz, co Polskę z drewnianej na murowaną zamienił, pobudował i tu ciężki, kamienny zamek: był to wtedy szczyt strategicznej mądrości i taktyki, rugujący przestarzałe ostrokoły, palisady i fosy: uzbrojenie terenu całą siecią obronnych gniazd, trudnych do zdobycia, przygotowanych na wielomiesięczne oblężenie. Zamek dostał się w podarunku od króla Jakowemu Janowi Niemirze, według do dziś krążących plotek — synowi Kazimierza, zrodzonemu z pięknej Żydówki, Esterki, co z niedalekiego Opoczna ród swój wiodła. Dla syna czy nie dla syna, w każdym razie zamek stanął i dopiero w trzysta z okładem lat później zniszczyli go Szwedzi, a ruiny do dziś oglądać można. Jak o każdym zamku, tak i o tym gadki przeróżne krążyły: że skarby gdzieś ma w lochach ukryte, że przejścia podziemne, aż z kościółkiem św. Idziego go łączyły. Ale grzebali tam w 1954 roku mądry ludzie i nie prócz paru monet nie znaleźli. Resztki fundamentów wstają w ziemię i już niewiele wyciąć z nich można. W księgach tylko zapisano, że przednie piwo na tym zamku za Zygmunta warzono i że w całej okolicy innego warzy i pić nie było wolno, co posesorowi nieźy dawać musiało dochód.

I znów o tych dochodach. Piwa już się nie warzy, żelaza nie wytapia. Małych, chałupniczych warsztatów, na których 50 lat temu Żydzi pluse piękne tkali i do Łodzi wozili, też już nie ma. A jeszcze jedno bogactwo ma Inowłódz, niewątpliwe i ogromne, z którego pełnymi garściami czerpać można: urzekające piękno krajobrazu, wspaniały klimat, rzekę jak stworzoną do kąpiel i lasy — do przechadzek. Biją tu źródła, w których już w 1818 roku uczeni fizycy Jaworski i Lichani, na polecenie władz analizy różne przeprowadzili, zna-



Z teki E.T.F.

Fot. R. Taszowski

leżli różne tam lecznicze domieszki, dla niedokrwiłych zalecane i dla cierpiących na dolegliwości dróg oddechowych. O miedzę od Inowłodza, jakby na jego skraju, wzdłuż Pilicy ciągnie się wieś Zakościele, na stoku pasma wzgórz położona. Jak się wyjdzie poza gospodarskie zabudowania, na wzgórze, to się i zdziwić można: tu piękna akacja aleja, co nie prowadzi donikąd, tu foremne, z wysokich drzew utworzone koło, jakby arena jakaś, tam żywopłoty z krzewów śniegulca, przez las przebiegające, to znów kasztany wielkie, ustawione nie tak byle jak, ale z planem, jakby w ogrodzie jakim, chociaż dookoła pole i las. Otóż to i resztki na wielką skalę pomyślanej „stacji klimatycznej”, jaką tu 80 lat temu ówczesny właściciel Zakościeła, Birenwajg, założył, impreza była obliczona na co bogatszych urzędników i kupców z Łodzi, a może i z Warszawy. Pobudowano wiele willi z balkonikami, tarasami ze spiczastymi daszkami i okienkami. Otoczył wille ogród wymyślny, altanki w nim różne i zakątki skąd na Pilicę widok przepiękny:

„I taka jasna dal za rzeką,
taki na prawo bór ciemniejszy,

na lewo tak się łąka śmieje
pod białozłotą słońca spieką...

— wspomni w dalekim Rio de Janeiro Julian Tuwim, co w tych właśnie stronach wakacje zwykł był z rodzicami spędzać. I o tych willach nie zapomni: każda wydała się

„...dzikim stworem
z opasującą ją galerią,
ze zwariowaną boazerią,
zgnitym budulem i kolorem,
o oknach, co szarżyną zioną,
o ścianach w sękach, szparach, piętach,
z drabiną schodów przystawioną
na zewnątrz do górnego piętra”.

Więc: tych willi także już nie ma. Spłonęły w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy Inowłódz i Zakościele znalazły się na pół roku na „ziemi nieczyjej”, między pozycjami niemieckimi a rosyjskimi. Inowłódzkie lotnisko, entuzjastycznie opisane przez doktora Markiewicza w publikacji z 1896 roku pt. „Zdrowowiska, zakłady lecznicze i stacje klimatyczne”, nagrodzone z okazji wielkiej wystawy higienicznej w Warszawie, nie dzwignęło się z ruin w okresie między-

wojennym. Dziś rumowisk tu nie widać. Domy mieszkalne solidne, duże, czyste, zarówno w samym Inowłodzu, jak i w Zakościele, słynącym z pięknych wycinanek ludowych i noszonych nie od parady, barwnych, opoczyńskich strojów. Co roku przyjeżdżają tu na kolonie dzieci, prawie każdy chłopski dom przyjmuje na lato rodziny letników z Łodzi i to jest poza rolnictwem jedyne źródło zarobków tutejszej ludności. Do najbliższej stacji kolejowej 5 kilometrów. Autobus do Łodzi kursuje codziennie, w Inowłodzu, jako krańcowej stacji, ostatecznie wsiąść można, po drodze, to wiadomo: zabiera kogo chce. Młodzi ludzie — jak ten świeżo przybyły z wojska — rozglądają się po świecie za robotą. Po zmroku cisza wielka otula miasteczko, na tle nieba rysuje się kontur romańskiej wieży kościółka św. Idziego, widoczny z bardzo daleka. Główna ulica nosi nazwę J. Tuwima, który tyle sentymentu w swych utworach, a już szczególnie w „Kwiatach polskich”, dla tych okolic zachował, i który po powrocie do kraju patronował tutejszej szkole. Pusto na tej głównej ulicy. „Tu by się jakiś przemysł przydał” — myślę i zamykam stare księgi o królach, wojnach i o hucie żelaznej w stacji klimatycznej Inowłódz.

doskonalić się kadry wyrokowców, jest jednak najczęściej tym, czym być powinno: domem poprawy, domem odnowy człowieka. Zdecydowało o tym sprowowanie zakładów karnych, odizolowanie przestępców przypadkowych i niezdemoralizowanych od recydywistów, psychopatów i charakteropatów.

Sędzia Leon Gruska często rozmawia z więźniami, spotkał nawet ludzi, których pamiętał z sali rozpraw, albo sami mu o tym przypominali, ale bez urazy, bo w tym specyficznym świecie pod skrawkiem ogrodzonego nieba istnieje jakieś swoiste pojęcie sprawiedliwości.

Jako sędzia do spraw penitencjarnych sprawuje Leon Gruska nadzór nad wykonywaniem kary pozbawienia wolności. Często, dzięki jego decyzjom, wrota więzień wcześniej otwierają się przed skazanymi. Oznacza to, że sędzia przychylił się do wniosku o warunkowe, przedterminowe zwolnienie. Ale pracy mu przez to nie ubywa. Musi rozkazywać nadzór nad ludźmi, których zwalnia.

Wniosków tych jest tak wiele, że rozpoznanie wszystkich przerasta często siły jednego człowieka. Do gabinetu na placu Dąbrowskiego przychodzi całe rodziny podopiecznych, zjawiają się narzeczone i żony, matki i ojcowie, najbliżsi i najdalej krewni. Na poparcie wniosków opowiadają całe partie własnych biografii, wybuchają gniewem, grozą, błagają. Często są to opowieści od początku do końca zmyślane, ale wysłuchać trzeba wszystkich i sędzia słucha cierpliwie. Często zastanowi się: „Od kogo to ja słyszałem już coś podobnego?”, ale nie przerywa.

Skazani, dla których przedterminowe zwolnienie, oznacza skrócenie kary także nie czekają biernie. W więzieniach istnieją „dobre zorganizowane biura pisania, podania”, w których ludzie obdarzeni literackim talentem chętnie podejmują się układania urzędowych podań dla swych współtowarzyszy z celi. Nie brak w tych el-

boratach górnolotnych zwrotów, o wiele cie kawsze jednak są wnioski złożone przez samych zainteresowanych, choćby nawet uboższe językowo i formalnie. Często z wnioskiem o warunkowe zwolnienie występuje administracja zakładu karnego, chociaż w niektórych z nich kierownictwa są czasem zbyt ostrożne.

Sędzia Gruska rozkłada papierowe tecki i wczytuje się w materiały. Starannie zebrane, będą stanowiły podstawę prognozy reedukacyjnej, chociaż same papiery nie wystarczą, aby rozstrzygnąć o losie skazanego. Wnioski o warunkowe zwolnienie rozpatrywane są na specjalnym posiedzeniu, gdzie przedstawiają swoje opinie wychowawcy więźni i gdzie on sam ma także prawo głosu.

Decyzje w tych sprawach są równie skomplikowane, jak zagadnienie wymiaru właściwej kary, jest to jakby dalszy ciąg procesu. I również wielka jest odpowiedzialność, bo także decyduje się o ludzkim losie. Wyrok sądu ulega niejako zmianie, co nie oznacza jednak, że kara ulega skróceniu. Tak rozumuje się potocznie. Przedterminowe zwolnienie jest dowodem, że wyrok sądowy wcześniej osiągnął swój cel wychowawczy.

— To pewnie paradoksalne — uśmiecha się sędzia — ale praca z więźniami daje więcej okazji do uśmiechu niż widok sali rozpraw.

Tak, to rzeczywiście trudno w pierwszej chwili zrozumieć. I znów cierpliwie wyjaśnienie naszego rozmówcy: na rozprawie sądowej ogląda się człowieka w chwili jego największego upadku; w więzieniu zaobserwować można mozolny, trudny proces jego zmartwychwstania.

— Moja najciekawsza sprawa? — wzrusza ramionami sędzia Gruska. Czekamy, że za chwilę padnie sakramentalne: „wy dziennikarze itd.”, ale nie pada.

Czy można zdecydować się na podanie tytułu najciekawszej książki? Czy w ogóle jest to możliwe? A przecież każda sprawa sądowa stanowi szkielet fabularny, który

napięło życie, nieraz o wiele bardziej skomplikowany niż najdoskonalsza literacka fikcja. Są oczywiście sprawy, które się jakoś pamięta. Sędzia stara się nam pomóc.

— Choć nie wiem, czy się to na coś przyda w reportażu — mówi wpatrując się w ogromny prostokąt okna.

Najpierw robi ogólnej natury uwagę: naj większą dolegliwością dla więźnia jest często nie tyle reżim zakładu karnego, co same skutki skazania. Na dowód tego opowiada nam przypadek pewnego inżyniera, zresztą znakomitego specjalisty, który skorzystał z dobrodziejstwa warunkowego zwolnienia, ale prawie w niczym nie zmieniło to jego sytuacji. Skazany miał głębokie poczucie słuszności wyroku, chciał sam odpokutować za swoje czyny, kiedy jednak wyszedł na wolność uznał, że jest naznaczony strasznym piętnem, które każdy może zauważyć, które każdy dostrzeże na pierwszy rzut oka. Zwolniony inżynier nie wychodził z domu, stał się dobrowolnym więźniem własnego mieszkania. Panicznie bał się podjęcia pracy, kontaktów z ludźmi. Nie wiedział, czy potrafi spojrzeć im w oczy. Lękał się litości i współczucia, a jeszcze bardziej lękał się pogardy. Trzeba było wielu wysiłków ze strony kuratora, aby wreszcie przełamać te obawy.

— Tutaj nasza prognoza dotycząca warunkowego zwolnienia postawiona była prawdziwie — mówi sędzia Gruska. — Zresztą rzadko się mylimy. Ale w ogóle jest to bardzo skomplikowana sprawa, trzeba uwzględnić tyle elementów.

Blisk oczu, jakby sędzia chciał powiedzieć: to na pewno zainteresuje czytelników. Pamięta tę sprawę dokładnie.

To było podanie, błagalne podanie wielokrotnego recydywisty. Zwracał się w nim o przydział mieszkania: konieczność w Łodzi, tylko w tym mieście, gdzie blisko dziesięć lat spędził w różnych zakładach karnych. Petentem był inwalida, były górnik, który jako młody człowiek stracił nogę w jakimś wypadku.

Zrazu zbagatelizowano tę prośbę, wydała się dosyć bezcelna, zważywszy, że mężczyzna, który wniósł podanie nigdy nie był stałym mieszkańcem miasta. Ale więzień nieustannie o sobie przypominał. Dowodził, że ten akt niewątpliwie łaski, będzie decydujący dla jego poprawy. Chciał posiadać coś własnego, kupić sobie łożko, poduszkę, znaleźć jakiś życiowy azyl. Obiecywał, że podejmie pracę w spółdzielni inwalidzkiej.

Wtedy zagłębiono się w biografię natrętnego petenta. Z materiałów procesowych wynikało, że od piętnastu lat był włóczęgą i żebrakiem, wszystkie przynależności swoich przestępstw popełnił przeciwko władzom i urzędom. Wyjaśnił, że robił to aby znaleźć dach nad głową na okres zimy, kiedy było ciepło nocował w parkach albo na kolejowych dworcach. Wrócił w nocny pejzaż miasta. Milicjanci unikali go, wiedzieli, że za rok wróci na tę samą ławkę albo będzie spał skulony w najciemniejszym kącie dworcowej poczekalni. Ale kiedy zbliżała się zima, sam szukał spotkania z nimi. Rzucił jakieś obraźliwe słówko, cieszył się, że go wiozą do aresztu, umawiał się na następną zimę.

W więzieniu także już go miano dosyć, chociaż był potulny. Powiedzieli sobie: może rzeczywiście więcej już nie wróci? Funkcjonariusze więzienni zaczęli wydeptywać drożki do urzędów, molestowali władze i wychodzili wreszcie do mieszkania.

— Nie jest ideałem, mamy sygnały, że pije, ale do więzienia rzeczywiście nie wrócił — kończy sędzia Gruska.

No cóż, różne są drogi ludzkiego zmartwychwstania, dekretem nie da się ich określić.

W dużym stopniu od nas wszystkich zależy, czy krąg ludzi napiętnowanych będzie się kurczył, czy przywrócenie życia pozostaną po tej stronie muru już na zawsze. Musimy, jak w popularnej audycji telewizyjnej, wszyscy być sędziami. Już nie w sferze fikcji. To sprawa poważna.

RELIKT

Dalszy ciąg ze str. 1

wości, gdzie brygada stoczyła większe bitwy. Dając składkę na ten pomnik żaden z nas, jestem głęboko o tym przekonany, nie myślał, że za własne parę groszy wystawia sobie własny pomnik. To dobrze, że został zlokalizowany ostatecznie obok budynku szkoły. Niech te pętały wiedzą... Cóż właściwie ma im przypominać? Że są wartości, za które warto było płacić najwyższą cenę — życie... własne życie. Modna drwina — bohaterstwa. Knajackie, nie, raczej chyba filisterskie zawołanie: śmierć frajerom.

Nie sobie postawiliśmy ten pomnik, lecz dla refleksji mincowaniakom, którzy może już są, albo za parę lat wyjdą z tej szkoły.

Poszedłem odnaleźć w tłumie Twardego. Wzburze honorowej kompanii jakiejś kieleckiej jednostki wojskowej (ci wszyscy chłopcy są młodzi, wyprężeni jak świece, w porządnym mundurach) przypominają jazgot „maszynki” Twardego. Był najlepszym cekaemistą w oddziale.

— Twardy! Trzymaj się.
— E! — machnął ręką. — Starzeje się.
— Już wtedy byłeś stary. My byliśmy młodzi. Poszliśmy naprzód. Mieliliśmy szansę, której ty nie miałeś. Nie musisz sobie nic wyrzucać. Zrobiłeś swoje. Możesz żyć w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

— Zdychać też?
— Też. Napijesz się? — wyciągnąłem z kieszeni zgrabną „piersiówkę” z Jarzebiakiem. — Twoje zdrowie. — Pociągnąłem solidnie z butelki. Na dworze było zimno.

Twardy przejął „piersiówkę” z mojej dłoni. Zamrugnął.

— Twoje! — Przytknął butelkę do ust. Płyn zabulgotał mu w przeliku. Oddał pustą.

— Ty! Czego ty ode mnie chcesz?
— Nic — odpowiedziałem.
— To czego za mną łazisz?
— Interujesz mnie. Jesteś barwną, ciekawą postacią. Relikt. Ale i tak nie rozumiesz co to znaczy. Zresztą, po prostu, lubię cie.

Twardy spojrział na mnie swymi starymi, zręcznymi oczyma. Zacerwienione łamówki spojówek świadczyły o ostrym zapaleniu. W źrenicach błysnęły jakby żywszy ogień.

— Naigrasz się ze mnie, tak?
— Nie.
— Dziadem jestem, tak? Wrak?
— Nie.
— Nie? A pójdziesz ze mną na spacer Marszałkowska? W niedzielę — dodał po chwili wahaniami.

Rozumiałem jego intencje. To ma być szczególny spacer, świąteczny.

— Wątpisz?
Twardy chwilę milczał. Potem znów wyrzucił z siebie pytanie, jakby uparcie dociekał jakiejś wyznawanej przez siebie prawdy, której zaprzecza rzeczywistość. Był jak maniak lub dogmatyk, któremu rzeczywistość nie pasuje do ukształtowanego w wyobraźni modelu i który uważa, że skoro tak właśnie jest, to tym gorzej dla rzeczywistości.

— Ty! A w knajpie... Takiej najlepszej w Warszawie knajpie, usiądziesz ze mną przy jednym stoliku? Ja stawiam — dodał pośpiesznie.

Uśmiechnąłem się. Twardy zachowywał się jak wytrawny socjolog, przeprowadzający błyskawiczną ankietę. Był półanalfabeta, a zadał poprawne, kontrolne pytanie.

— No, poszedłbyś? — przynaglał, sądząc, że się zastanawiam. Spojrzał przy tym na swoje niedoczyste buty, zbyt długie, sięgające niemal kostek, sznyel i potarł ręką nie dość starannie wygolone policzki.

Dobrze wiedziałem, o co mu chodzi. Spotkał tu dawnych kolegów — lekarz, adwokat, dziennikarz, inżynier. Sporo się tu takich dzisiaj zjechało. On — pozostał najlepszym cekaemistą oddziału, dziś nikomu niepotrzebnym, zdemobilizowanym najlepszym cekaemistą oddziału, półanalfabeta na emeryturze. Podejrzał każdego z nas, że tam w Warszawie, żaden nie zechce nigdy pójść z nim do najlepszej knajpy, bowiem jego towarzystwo okazać się może krepujące. Do tego, nie innego, wniosku prowadziły jego pytania. Tam, w lesie dwadzieścia parę lat temu, on o tym dobrze wiedział, nikogo, ani dowódcy, ani podwładnego nie krepowało jego osoba. Każdy mógł z nim iść w najgorszy ogień. Najlepszy cekaemista, najwierniejszy druh. Odważny, aż do zaprzepaszczenia samozachowawczego instynktu, wyzywająco odważny druh. Nikt, kto go znał, nie zawaha się iść z nim samotnie przez dżunglę i pustynię. Ale Twardy nie o to pytał.



Z TEK I Ł.T.F.

Fot. R. Taszakowski

Był cerber z „Europejskiej” lub „Bristolu” nie wpuścił dziś osobnika w takich butach, w tym sznyelu nawet do hallu. Jak więc wypić z Twardym w najlepszej knajpie Warszawy kieliszek czystej? Oczywiście, Twardy może założyć wieczorowy strój, porządnie ogolić się. To załatwia całą sprawę. Może.

— Twardy, czytałeś Żaluskiego? Wzruszył ramionami.
— Żaluskowski wystawił całą naszą brygadzie przepustkę do historii.
— Popatrz na mnie uważnie.
— No to co.
— Nie. Mówię, że wystawił taką zbiorową przepustkę do historii.

— Chcesz powiedzieć, że to taki pomnik, podobny do tego, który tu dziś odsłaniają?
— Powiedzmy. Wystawiłem przepustkę do historii tobie indywidualnie.

Musieliśmy mu to powiedzieć, musieliśmy się usprawiedliwić, odczuwałem potrzebę wypowiedziania się przed Twardym z mego grzechu.

Spojrzał pytająco. Onieśmielało mnie to jego zalzawione, zmęczone spojrzenie. Twardy odwrócił się na pięcie. Wmieszał się w tłum. Czajła mu bardzo mocno natrętna indagacja, a on nie mógł sobie nic przypomnieć.

Miał w brygadzie jeszcze jedno przewisko. Nieoficjalne. Mówiliśmy o nim; anegdotczyk. Jego dowcipy rozweselały chłopców, nosił pogodę i śmiech. Zapytałem go kiedyś: — Twardy, kim będziesz po wojnie?

— Poległym — odpowiedział lakonicznie i zaczął się głośno śmiać. Zażalł. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Gdybym go dziś o to zapytał... coż odpowie? Jaka treść podkładał wówczas pod słowo: poległym.

Twardy był artystą. Nie tylko gdy klinował zamek cekaemu, gdy zalegał z ręką zacisniętą na uchwytych i uruchamiał spust, gdy wyszukiwał cele, mierząc starannie i skutecznie. Był artystą także w czasie odpoczynku, po trudach walki lub uciążliwych marszach. Aktor-parodysta. Kiedyś Twardy chwycił „diaktariewa”, którego talerz z nabojami doskonale mógł imitować balajajkę. Palcami lewej ręki przebiegał po łufie, palcami zaś prawej dłoni wystukiwał rytm na stalowej tarczy erkaemu. Głos miał przyjemny. W głowie pozostał mi już tylko okrucieństwo tej piosenki... „Gdy donna Kaśka okno otworo, pod chłiwem widzi cień cabaliro. To senior Wojtek drzący i biady na widłach grał jej seerenady. Donna Kaśka i Wojtek cabaliro miłość poznali dopiro. Gdy senior Wojtek amorem zdjęty, w sianie ich znalazł sir don Walenty. Obojgu tego wyłoił skórę, hiszpańską sprawił im awanturę. Bo nieugięty jest sir don

Walenty, jak chcesz się kochać, płac allimenty”.

Nic nie wiem o jego życiu z okresu powojennego dwudziestolecia. Jak przedzierzgnął się z żołnierza w budowniczego? Nic nie wiem. Szkoda. Mimo moich wysiłków nie dał się wciągnąć w rozmowę, poskapil zwierzeń.

Ta szkoła miała w sobie coś krzepiącego. Wjem o czym myślał Janek. To jest — domniemywam o czym mógł rozmyślać takując szkolny budynek.

Ktoś może zarzucić naszemu pokoleniu schematyzm myślenia, że odczuwamy egoistyczne poczucie dumy z każdego „drobiazgu”, który został przez to pokolenie wywalczony, zbudowany. Nasze dzieci ujmują te sprawy w sposób oczywisty: „Naturalne, tak powinno być”.

Ale to wszystko nie było tak naturalne, tak oczywiste. Dlatego my mamy powody do dumy, oni — zbyt często — do narzekania i wybujałych wymagań. Nasz cieszny każda nowa szkoła we wsi i w mieście, każda nowa fabryka, każda linia kolejowa. Można było lepiej? Chyba tak. I w tym sensie nasze dzieci mają być może raczej lecz jednocześnie szeroką perspektywę dla własnych popisów, zielone światło do własnych osiągnięć. My zaś mamy wewnętrzne przekonanie, że nie zmarnowaliśmy niczego, ani naszego życia, ani innych społecznych wartości.

Nasze życie było sensowne. Ofiarowaliśmy nowemu pokoleniu wolny kraj, odbudowany ze zniszczeń wojny, bogatszy, sprawiedliwszy aniżeli ten zastany przez nas. Niech kontynuują to dzieło dalej. Niech pokażą, co potrafią. Jeśli szczęśliwy może być tylko człowiek wolny, więc ofiarowaliśmy im także szczęście. Wysilek, który podjęliśmy przerastał wyobraźnię ludzi bez wyobraźni. Myśmy ją mieli i niczego nie musimy się wstydić. Nasza walka wyrastała z romantycznych uniesień i nasza praca z nich wzięła początek. Romantyczne uniesienie przekształcone zostało w realne wartości. Realne wartości dostają w ręce realności. Tylko oni. Nie oddamy ich w ręce cynikom. Dość jeszcze sił i romantyzmu, aby obronić te wartości przed filistrem i ewaniamkiem.

Ani Gruzja, ani Przelom, ani dziesiątki innych obecnych tu, byłych chłopców z lasu, nie pobierało nauki w takiej szkole. Dla tego może nawiedziła Janka sentymentalna refleksja. Chodził przed wojną do wsiowego powszechniaka, który mieścił się w nędznej ruderze. Studia ukończył tuż po wojnie, słuchając wykładów w kinowej sali. A dzisiaj, siedmiolatek, rozpoczyna naukę prawie w pałacu. Wyższe uczelnie mają wybudowane przez nasze wojenne pokolenie wspaniałe gmachy ze znakomicie wyposażonymi pracowniami. Tylko się uczyć. Tak, tylko się w nich uczyć.

RYSZARD KLIMCZAK

MIECZYSLAW KUCNER

po polsce

gdzie jeszcze odnajdziesz swój ślad
w jakim świecie i na jakim brzegu —
sam niezdojony — zdobywany co dzień
jak promień siły w gnieździe ładu

i stąd jest wiersz kiedy sięgasz głębiej
aż do zupełnej akceptacji siebie;
oczu tylko żal lecz nie bez powodu
i żal więsek przypadłych do drogi

„Raczej zasnął niż umarł...”

Wciąż odkrywamy go na nowo — choć jego rola w złotej księdze polskiej poezji jest już nie do podważenia. Wciąż wolamy o jego odkrycie, lecz luksusowe, drogie wydania jego wierszy nie trafiają pod strzechy. Cyprian Kamil Norwid — wielki poeta, poeta polityczny także wciąż jest tylko hasłem, symbolem zwycięstwa z grobem...

Jest wielkim poetą, jego nazwisko wymienia się jednym tchem obok Mickiewicza i Słowackiego, jest poetą fascynującym wieloznacznością swojego SŁOWA jak żaden z wieszczów — jego czas chyba jeszcze nie nadszedł.

Dowodem — wydarzenie, które przeszło w Łodzi prawie bez echa — sesja popularno naukowa, poświęcona życiu i twórczości Cypriana Kamila Norwida. Mówili o nim do niewielkiego grona słuchaczy profesorowie: A. Kowalska, M. Straszewska, S. Hrabec — mówili o jego niełatwym zwycięstwie, o twórczości, o języku wreszcie, który jest tak niepokojąco współczesny.

Umarł 85 lat temu, zlekceważony i odepchnięty przez współczesnych, umarł w nędzy paryskiego przytułku dla ubogich i zapomnianych. O jego prochy, o spokój ich spo-

czynku na cmentarzu w Ivry toczą się swary, kto ofiarować ma 100 rubli na przedłożenie... koncesji cmentarnej, bez której szczątki poety wrzucone być naja do wspólnej, ziemnej mogiły.

„Zostawcie mnie w spokoju” — mówi wieczorem tym, którzy go odwiedzili. Umiera w środę 23 maja 1883 roku. „Raczej zasnął, niż umarł” — notuje później ktoś z przyjaciół.

Zostawiono go w spokoju na wieś lat — próby Wiktorą Gomulickiego, aby odgrzebać twórczość i pamięć o poecie, nie przynoszą efektów. Zrekomensuje to po latach Juliusz W. Gomański. Ale spokój trwa nadal. Mimo uniwersyteckich drażeń tematu, czas poety jeszcze nie nadszedł.

„Przykrycie mnie lepiej” — mówił Norwid ostatniego wieczora do czuwającego przy łożu druha. W godzinę swojej powolnej śmierci mówił wieloznaczna fraza swoich wierszy. Aż nadto dokładnie przykryto pamięć o nim i wciąż jeszcze trwa mozolne odkrywanie Poety.

Coż można dodać do polonistycznych mądrości norwidowskiej sesji? Myśl tylko na głos, że historycy literatu-

ry mówią o poecie współczesnym. A on — Norwid — jest nie z zasuszonych pergaminów, nie z fojiałów dzieł wietnastowiecznych — on jest nasz współczesny. Jesteśmy o ileż od niego ubożsi — nie całkiem jeszcze umiemy go zrozumieć, ale mówi on do nas i o nas także językiem przeraźliwie współczesnym:

„Oj, zastępuje na wielką nagane
Kto kala gniazdo własne —
ale taki
Co widzi, ile gniazdo jest skalane,
To mi dopiero łotr, lada jaki...”

Bo przecież był i jest taki właśnie, ze swoją „uwikłaną we współczesność raz po raz zmieniającą tor drogę”. Mówiący:

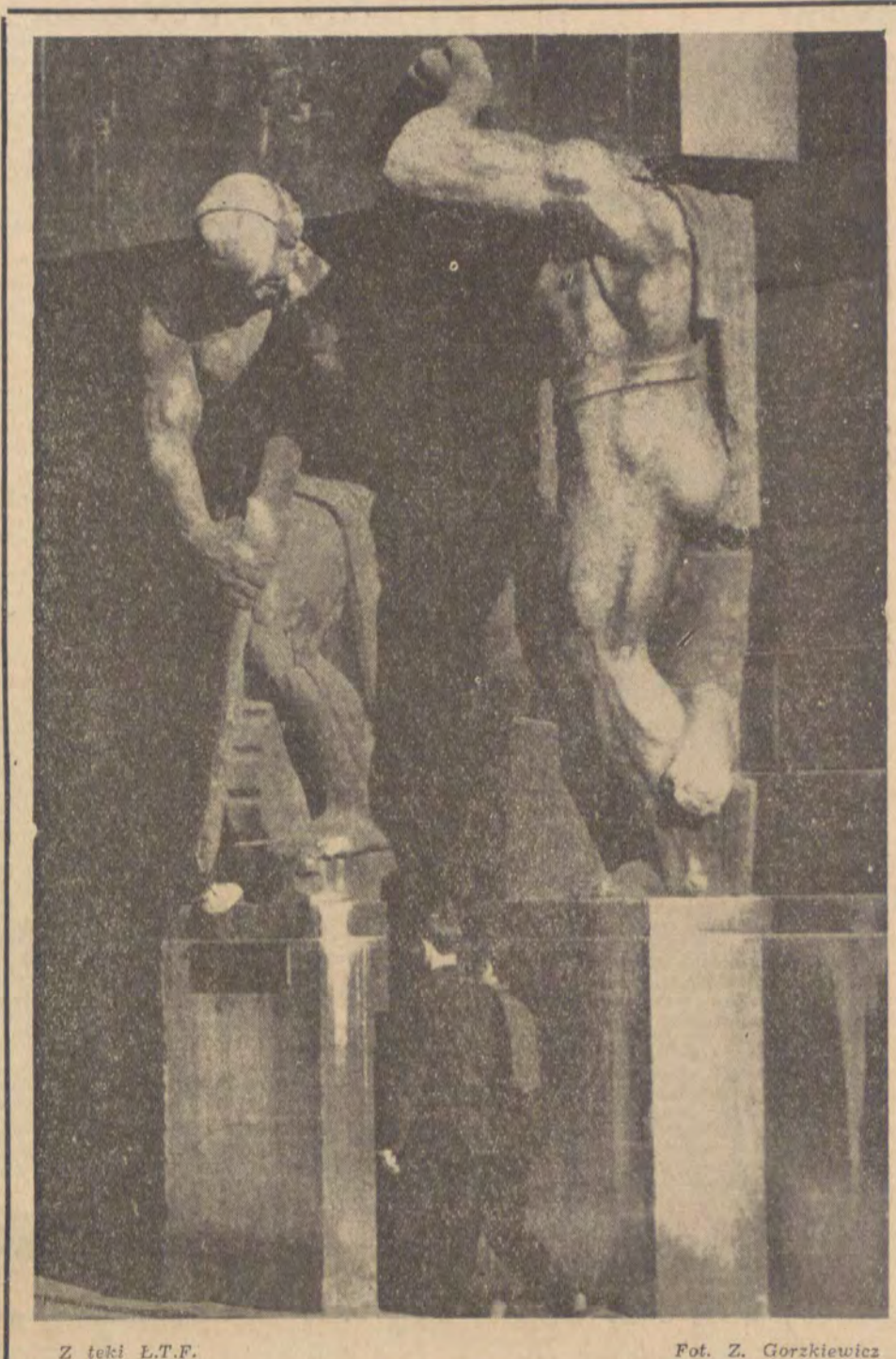
„Wiedzy zobaczysz, że jest do roboty
Więcej, niż śni się filozofii
o tem:
Przekopać rowy, powygradzać płoty,
Poruszyć niwę tu i ówdzie
grzmotem
Parę świni wgonić do ciepłego lochu,
Uciszyć kaczki, gołębiom dać grochu”.

I mówił jeszcze: „Ani dziennikarstwo, ani Sztuka, ani ludowa kwestia, nie rozwijają się dość szybko, aby Poezję poską zwołać od służb i atrybutów czasowo jej właściwych” — a pisał te słowa 103 lat temu w roku 1865.

Czytajmy więc Norwida, bo mówi on do nas, porażony swoją współczesnością, która jest przecież także naszą — jego późnych wnuków. Nie ballady i balladyny, ale gorzkie i piękne słowa rzucające światło — przeciwko niemu i dla niego. Nie wadził się z Bogiem — wadził się ze światem. I wiek dziesiętnasty podeptał go i odrzucił...

„Raczej zasnął, niż umarł” — powiedzą po jego śmierci — i wszystko w tych jego ostatnich chwilach ma walor metafory. Bo przecież on naprawdę nie umarł. Ale jest, istnieje, tkwi w samym środku współczesności. Może to właśnie jest wielkość?

JERZY WILMAŃSKI



Z tekstu L.T.F.

Fot. Z. Gorzkiewicz

JAN HUSZCZA

Nie — „dziki powój”

Po wojnie Aleksander Rymkiewicz wystąpił z dużym tomem wierszy i poematów pt. „Z narodem”. (Wydawnictwo „Panteon”, Warszawa 1947). Tytuł tomu wymowny i zobowiązujący. Od razu dopowiedzmy, że usprawiedliwiony, realizujący zwrotkę z ostatniej strony:

Tak pojąłem życie, może nazbyt prosto,
że to, co ukochałem, to przekazać w słowie,
jeśli byłem raz na ziemi tej człowiekiem,
to aby dać świadectwo memu narodowi...

Dając świadectwo, poeta czasem zbliża się do rapsodycznego patosu poezji romantycznej, kiedy zbliża się do rzetelności i prostoty Syrokomi. Z wiersza „Na 11 listopada 1939 roku”:

To było nad wieszczorem. Wyszędłem przed komendę
— wozy już czekały, uderzył koń kopielem,
wisiato ciężkie niebo i mliłaz las kamienny,
mliłaza także wioska pod borem złym ukryta.
— A na zachodzie rosła i rosła kanonada:
Prezentuj broń kapralu — oto ojczyzna pada...

Poeta towarzyszy klęsce, ale i narodowemu wysiłkowi zbrojnemu.

Drugi istotny motyw twórczości Aleksandra Rymkiewicza to wojna i okupacja, które zniszczyły prawa i normy ludzkie, strząsały dekalog, kamiennie tablice z zapisami. A więc odbudowywanie praw ludzkich! To przewija się przez wiele wierszy i poematów, niekiedy wyrażane w sposób bezpośredni.

Sięgnijmy po „Dekalog” z tomu „Bruzdy boskich plugów”, po jego pierwszą i ostatnią zwrotkę:

Człowieku prosty, oduczono ciebie
litości,
kiedy młotały kratery kominów
dym z kości...

...Cytwilizacje spalone wśród liści
deszcz płucze
i morze strząskany dekalog na brzegi
wyrzuca.

Rygorysta mógłby wytoczyć niejedną przyganę. Wiersze poety poddane analizie formalnej, sprawiają niekiedy dziwne wrażenie, bowiem niektóre ich elementy wyglądają na bylejakosć. Da się je porównać do mechanizmu, którego trybiki i kółka przedstawiają się nieporozumnie, niektórym jakby brakowało szlif, w całości jednak tworzą mechanizm sprawnie funkcjonujący. Przypomnijmy tu Lechonia, oczywiście nie w sensie pokrewieństwa. W utworach Lechonia także spotykamy wiersy, które potraktowane oddzielnie robią wrażenie bylejakosći, wręcz nieudolności. Z wiersza „Spotkanie” o Beatrycze:

I wiatr lekki woń przyniósł duszącą, upojną —
Jak w mistycznym w nią szedłem upianny bukicie,

Niby to nieudolne, niby banalne, niby niefortunne dwa obok siebie przymiotniki, a przecież w całości to jeden z głęboko wzruszających wierszy polskich.

To może największa sztuka: bez uciekania się do szczegółowych zabiegów formalnych, posługując się niejako słowami z ich do pewnego stopnia tradycyjnym odnośnikiem uczuciowym i znaczeniowym — odkrywać nowe sprawy, budzić nowe wzruszenia, odświeżać spojrzenie na świat.

Intelektualizm tej poezji nie należy do ryzykownych i karłowatych, ale bliższy jest przypowieści i ludowej mądrości niż filozoficznym spekulacjom, formułuje podstawowe treści ważnych spraw.

Stwierdzając to, dobrze jednocześnie pamiętam, że Rymkiewicz wyszedł z dobrej szkoły wileńskich żagarystów, że to autor poematu „Tropiciel” (Wilno 1936) i tomiku „Potoki” (Wilno 1938).

Gdy mówi się o żagarystach, od razu pada słowo „katastrofizm”. Chętnie używa się go w znaczeniu ujemnym. Zupełnie niesłusznie. Nie był to przecież katastrofizm w rodzaju tych, które prowadzą lub mogą zaprowadzić do nihilizmu. Wynikał on z dosyć czujnego reagowania na rzeczywistość — o czym świadczą liczne wiersze żagarystów, odważnie i przekonująco podejmujące tematykę polityczno-społeczną. Wynikał z niepokoju, jaki budził narastający system niebezpieczeństw, zbiegających się nad Polską i nad Europą, nad światem. Wynikał także zapewne z rozpaczy i poczucia bezradności. Ale przecież bezradnymi, jak to zbyt dobrze wiemy, okazali się nie tylko poeci, przede wszystkim politycy. I jedynie tym ostatnim nie można tego wybaczyć. Do polityków bowiem i mężów stanu należy szukanie praktycznych środków zaradczych, do poetów — wyrażanie niepokoju lub grozy swojego czasu.

Wyrażali to żagaryści w sposób jaskrawy i, jeśli ktoś chciał sięgać po ich utwory, przeważnie komunikatywny.

Żagaryści należeli do szerokiego, bardzo różnego i skłóconego nawet wewnątrz frontu awangardy poetyckiej. Trzeba jednak zastrzec się, iż w eksperymentowaniu byli znacznie wstrętniejsi niż poeci spod znaków krakowskiej „Zwrotnicy” i „Linii”. Obca im była na przykład fetyszycyzacja metafory, obce im było równomierne rozkładanie point i elipsa, a w treści — urbanizm i maszyny. Przypominali przez swoją ostrożność raczej poetów z kręgu Józefa Czechowicza.

Wolno także przypuszczać, iż ostrożność w eksperymentowaniu, unikanie dziwnych niekiedy skrajności wynikało także z poczucia humoru. Poczucie humoru, cechujące wszystkich żagarystów, to w tym wypadku przede wszystkim poczucie umiaru, jakże często nieobecne u niektórych przedstawicieli rozmaitych odmian awangardy. Unikaniu dźwięcznych sprzyjały zapewne zbyt silne talenty, temperamenty. W jeszcze większym stopniu odczuwali żagaryści doniosłość polskiej tradycji poetyckiej, ciążyli ku wierszowi stroficznemu. Nie w tym dziwnego: startowali w mieście Mickiewicza, a siedziba Związku Literatów mieściła się w jednym ze skrzydeł historycznego klasztoru oo. bazylianów.

Wracamy jednak do tomików Rymkiewicza. Źródło pewnej dezynwoltury formalnej można chyba szukać i w epickich od początku skłonnościach poety. W jego praktyce nawet małe konstrukcje nieraz mają coś z epiki. Dodajmy, że Lechonia to poeta także z zaczynem epickim. Nie wyklucza to faktu, iż niektóre wiersze w poszczególnych tomach są jednak „tkanina naprędce zrobiona”.

Broniąc się przed naporem tego, co ujemne w cywilizacji technicznej, poeta chętnie ucieka w pejzaż wiejski, leśno-jezior-

ny. Ożywia ten pejzaż ludźmi, wypowiada przez niego troski i wzruszenia. (Tytuł jednego z tomików: „Krajobrazy i ludzie”, Warszawa 1956). Jest to najczęściej Pojezierze Mazurskie, druga po Wileńszczyźnie najbliższa ojczyzna poety. Na tle krajobrazu mazursko-warmińskiego poeta odnajduje treści naszego czasu. Nieraz poprzestaje na samym krajobrazie, przedstawiając przyrodę w ruchu, mitologizuje to, ocalając wszystko przynajmniej w słowie. Występuje wtedy jako myślny, jako pan włości. Zdaje sobie sprawę z tej mitologizacji i umowności, bez której nie ma poezji. Oto początek wiersza o znaczącym tytule „Zmniejszony świat” z tomu „Dziki powój”:

Małeńkie domy stoja,
w nich male niepokoje,
tu laury albo kary
też nie największe miary.
Tuż za stodołą sad
owoce rodzi rad.
W południe, w zmrok, o świecie
toczy się jabłko życia —
a tam daleki, zbrojny świat...

Ewolucja Rymkiewicza?

Poeta-katastrofista nie stał się kasandrami egzystencjalnej rozpaczy, odnajduje heroizm ludzkiej egzystencji. Staje się nawet piewą zmobilizowanej energii i woli, jak choćby w wierszach olimpijskich. („Niezbrojni zwycięzcy”, Warszawa 1953). Zachowuje zawsze pełną świadomość groźb, jakie niesie współczesność. Pisze o tym, posługując się z konieczności drastycznym skrótem.

Skąd tedy mógł się wziąć tytuł ostatniego tomiku „Dziki powój”? Tytuł, spinający pewne nastroje poety...

Rymkiewicz, który po wojnie znacznie wzbogacił tonację swych wierszy, przydając im wdzięku humorem i ironią, należy do twórców, których oficjalna giełda poetycka traktuje lekceważąco, pisano o „lirycznym zaścianku” (R. Matuszewski). Mimo iż autor stara się jednocześnie uświadomić sobie właściwe miejsce artysty w naszym społeczeństwie. Na dowód wystarczy przytoczyć początek wiersza „Ojczyzna epopei”:

Ojczyzna sławnej w świecie epopei,
pobojowisko nie tylko wojenne,
pobojowisko piór w ciągłej niemocy,
kraju sierocy.

Z ciebie dziełami artyści uchodzą,
to raz ulegli wiatrom bizantyjskim,
to znów przychylni zefirom paryskim,
co nie stał rodem, to wszystko im bliskie —
da Europa patent na geniusza
dla prowincjusza...

Otóż chciałbym podkreślić, że właśnie bogata twórczość Aleksandra Rymkiewicza nie ma nic wspólnego z dzikim powojem. Także i dlatego, że jest bliższa to Słowackiemu (najwęższe sugestie poetyckie Rymkiewicza), to nawet Syrokomi, poecie, którego nigdy nie potrafiliśmy zlekceważyć.

Tonacja wierszy poety, pokrewieństwa poety każą twierdzić, że tytuł ostatniego tomiku mógł wynikać jedynie z rozgoryczenia lub z przekory, bowiem:

Jeśli ktoś zapyta o poezję o temacie ojczystym — można wskazać na Rymkiewicza. Jeśli ktoś zapyta o poezję autentycznych wzruszeń — można wskazać na Rymkiewicza. Jeśli ktoś zapyta o poezję po ludzku mądrą i gorzką a jednocześnie nie pomijającą trudnej urody życia — można wskazać na Aleksandra Rymkiewicza.

Jestem sobą sobie

Mało pisze, jeszcze mniej publikuje w prasie, ale to oczywiście nie jest wystarczający sąd o Zbigniewie Kosińskim, poecie i malarzu w jednej osobie, który wydaje zbiory wierszy w odstępie 5-7 lat. Debiutancki tomik z 1957 roku zatytułował „Port egzotyczny”, dając tym samym wyraz swoim ukierunkowaniom w stronę wyobraźni. Wyobraźnia kryje w sobie znaczne możliwości wyodrębnienia własnego świata, nie się za sobą duży potencjał słowotwórczy, pojęciowy, a co za tym idzie — kształtuje indywidualność twórczą. Utajone są w tym jednak pewne niebezpieczeństwa, gdyż poezja oparta li tylko na gruncie wyobrażeń jest z natury swej wielointerpretacyjna. Niemato przysparza trudności określenie pozycji Kosińskiego na poetyckiej mapie

Polski, gdyż poetyka jego jest tak odrębna, że nie sposób dopatrywać się jakiegokolwiek wpływu z poezji ojczyzny. To, że wśród osób, którym dedykowany jest „Starszy o głowę”, widnieje Cyprian K. Norwid, nie jeszcze nie mówi. Wzłów pokrewieństwa możemy szukać u francuskich nadrealistów „Piszę, aby to co jest prawdą, prawdą być przestało” — tak wyznaje w swojej „Sztuce poetyckiej” Michaux. Podobny cel rewizji pojęć i ich odniesienia do rzeczy przyświeca Kosińskiemu. Jednak autor „Starszego o głowę” nie ogranicza się jedynie do oryginalnych deklaracji i autotematyzmu, lecz koncepcje te wciela w słowa, animizuje martwe rzeczy i co charakterystyczne — wybiera interesującą metodę: pojęcia oraz zespolone słowne służą do stwarzania nowych sytuacji, zazwyczaj podających w wątpliwość tezę. Kosiński odrzuca więc możliwość znalezienia kryterium, gdyż prawdą są względne. Źródła tego tkwią w myśleniu sofistycznym.

Obojętny jest poecie świat rzeczywisty, gdyż istnieje on w niezniszczalnej masce. Niemożność przedarcia się do wnętrza kieruje Kosińskiego w sferę wyobrażeń, przypuszczeń. I w tej sytuacji i zarazem postawie jest najbardziej oryginalny. Rezygnuje z sensu, ale też i treści nie sprowadza do absurdu. Nie jest istotne dla poety to, co jest, ale to co może się zdarzyć, dlatego że kiedyś już ono było jak np. w wierszu „Zapodziałem swoje nogi!...” Drugą stroną medalu stanowią sytuacje anachroniczne, które służą tylko za pretekst do ukrycia myśli o dość silnym zabarwieniu moralnym. Za przykład może służyć tu wiersz o umartwych, zadowolonych na pozór ze swego „martwego życia”, którzy udali się do żywych:

Znający tajemnicę ujęć są
zawsze na wygnaniu
I myślę, że wyglądają jak
noc równikowa w dzień
polarny

W tych warunkach — rozumie się — moralność jest nieprzeuroczysta

W ten sposób wychwytuje poszczególne strony moralności ludzkiej i dzięki takim metodom stawia je w nowym świetle, często sofoklejsko-ironicznym. Rozważania typu moralistycznego wynikają z obsesji wojny. Wspomnienia są wywoływane nie poprzez osoby, lecz rzeczy. To żelazo, rdza, cegły, zbroje, żyja, poruszają się, stanowią po prostu integralne elementy anatomii człowieka. Okrutny mechanizm naszego czasu — psychika człowieka wrznięta w maszynę. Stąd też charakter defensywny liryki Kosińskiego, który chce wybronić podstawowe wartości człowieczeństwa. Odrzuca wszelki gest na rzecz groteski, humoru i ironii. Humor poety, upraszczając nieco, jest z lekka angielski, ze względu na rozczłonowanie spowodowane zakrojonymi na szeroką skalę inwersjami składniowymi, które często są zby-

tecne i zacierają esencję treściową. Jest to jeszcze jeden z przymiotów oryginalności, ale chyba tym razem nie za bardzo szczęśliwy.

Uciezka nie tyle do samotności, ile do własnego „ja” doprowadza poetę do prób określenia siebie. Jest sobą sobie wyłącznie i sprawdzić może się tylko w świecie własnych wyobrażeń:

I czuję że służę wiatrom
(zapalają o mnie swoją jasność
wazkie burze)
I jeden nie przeczę nieczemu
(w labiryncie uszu jestem
sobą samym)

Wyjść ze stanu anonimowości, w który popadł człowiek dzisiejszy, wybrać postawę owcy albo tygrysa, ale jak to uczynić?

Jeśli jesteś w dobrym stanie
pójdiesz szlakiem zdechłej
szkapy

Idę sobie jak koń
który widzi tylko drogę
i ciężkim kopytem

moeno wali w twardą powierzchnię niech ci pod spodem także słyszą

krok idącego konia
I w tym przejawia się prymat oryginalności zakrawający o indywidualizm romantyczny? Przy dzisiejszym narastaniu problemów psychicznych taka droga to heroizm; niby wszystko naturalne, proste, a jednak ścieżki to nowe, odkrywane nie przez kogś innego jak Zbigniewa Kosińskiego.

PS. Tomik „Starszy o głowę” jest nadzwyczaj starannie, estetycznie wydany i chyba jest dotąd najefektowniejszą pozycją poetycką Wydawnictwa Łódzkiego. Poważne zastrzeżenia budzi nakład książki (500 + 220 egz.) to chyba tylko z lekka zawyżona ilość egzemplarzy autorskich?

Zbigniew Kosiński, Starszy o głowę, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968, s. 47.



Akt.

Fot. Miłoś Vojfir

ADAM NONAS

Majowe święto

Minął maj a wraz z nim tradycyjne Dni Oświaty, Książki i Prasy. W okresie poprzedzającym Dni miałem okazję dostrzec tu i ówdzie rodzaje swej wpatliwości, czy impreza ta powtarzana co roku nie straciła na atrakcyjności. Przekonującą odpowiedzią na te zastrzeżenia dał już wielki kiermasz „Domu Książki” zorganizowany w dniach 4-5 maja w parku im. H. Sienkiewicza.

Eyl on głównym punktem łódzkich Dni Oświaty, Książki i Prasy. Mimo, iż w tym roku wyjątkowo nie spisali się wydawcy i nie było tzw. bomb (jeden „Pamiętnik de Gaulle'a” potwierdza jako przyszłowiowy wyjątek reguły), obrót przekroczył 300 tys. zł. Przez owe dwa dni przewinęła się przez kiermasz chyba połowa mieszkańców Łodzi. Stoiska wydawnicze były oblezione, a do stoisk loterii książkowej formowały się także kolejki jak po lody do co modniejszych kawiarni w upalne letnie dni. Nic więc dziwnego, że posypały się także wygrane rzeczowe — było ich aż 9.

Dodatkowa, a dla wielu główną atrakcją kiermaszu, byli jak zwykle, autorzy zaproszeni przez „Dom Książki” w Łodzi, którzy podpisywali swe dzieła. Oczywiście wielkim magnesem są zawsze wielkie nazwiska, których i tym razem nie brakło. Podpisywali swe książki m. in. Jan Dab-Kościel, generał Franciszek Księżarczyk, Jan Gerhard, Janusz Dybowski ale 15 łódzkich pisarzy również nie narzekają na bezczynność.

Zaskakujący był formalny szturm łódzian na książkę pt. „Droga w ogień” i jej autora gen. F. Księżarczyka. Chyba w żadnym boju generał tak się nie napracował jak w ciągu tych 2 godzin, gdy podpisał 100 egzemplarzy swych wspomnień. Jest to poza tym widomy dowód wzrostu zainteresowania literaturą społeczną-polityczną.

Jak zwykle przy takich okazjach nie brakuje przypadków wręcz humorystycznych. Jeden z czytelników zgłosił się do stoiska pisarzy z egzemplarzem „Przedwiośnia” w ręku z prośbą o... autograf autora. Na szczęście był to odosobniony przypadek. Oczywiście kiermasz był także wyjątkową gratką dla łowców autografów, najczęściej

młodzieży szkolnej, załatwiającej wszakże tę sprawę systemem „jak leci” tzn. który autor w danej chwili podpisuje, tego podpis trzeba zdobyć. Rozpowszechniła się aktualnie moda kompletowania autografów na chusteczkach do nosa. Pozostaje więc zapytać co spełnia w takim razie ich dotychczasową rolę? Obawiam się jednak, że jest to kwestia zbyt drażliwa, aby ją w tym miejscu rozważać.

Zupełnie nowym elementem tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy były zorganizowane przez PP „Dom Książki” w Łodzi Dni Współczesnej Literatury Łódzkiej. Inicjatywę tę podjęły Wydział Kultury Prezydium Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej, Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Wydawnictwo Łódzkie. Imprezie patronowały Wydziały Propagandy KE i KW PZPR. Na posiedzeniu organizacyjnym ustano, że w okresie trwania Dni tzn. od 16 do 25 maja, zostanie zorganizowanych około 100 spotkań w instytucjach podległych współorganizatorom. Liczbą zaiste imponującą i zrealizowanie tych zamierzeń wymaga ogromnej sprawności organizacyjnej.

Tę tzw. popularnie czarnej roboty, czyli prowadzenia sekretariatu imprezy podjął się inicjator akcji — „Dom Książki”. Termin, wykraczający poza ramy oficjalnych Dni Oświaty Książki i Prasy, wybrano świątynie, aby pisarze łódzcy, których do tej akcji zgłosiło się 26, dysponowali nieco wolniejszym czasem.

Ale i tak z różnych powodów praktycznie udział w Dniach wzięło 20 członków Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Każdy z pisarzy miał odbyć cztery spotkania z czytelnikami w oparciu o nadesłane zgłoszenia poszczególnych instytucji, zakładów pracy, klubów, bibliotek czy szkół. Duży rozmach tej imprezie nadał Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, który rozstał do wszystkich Wydziałów Kultury Powiatowych Rad Narodowych oraz miast wydzielonych naszego województwa formularz, na którym miały zgłosić swe zapotrzebowanie. Na wyróżnienie zasługuje tu Powiatowa Rada Narodowa w Pajęcznie, która zaplanowała odbycie 7 spotkań, a taka sama ilość spotkań zorganizowała w podległych sobie bibliotekach Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Kutnie. Instytucje te dostrzegły niewątpliwie wielką szansę przybliżenia łódzkich pisarzy mieszkańcom tych powiatów. Pozostałe powiaty, z wyjątkiem jeszcze łódzkiego, wykazały znikome zainteresowanie tą akcją.

Spśród potentatów, WZGS zgłosił zapotrzebowanie na 30 spotkań, WKZZ na 25, Biblioteka im. L. Waryńskiego na 15 spotkań, kilka spotkań odbyło się także w księ-

garniach „Domu Książki” i innych instytucjach. Tak więc impreza ta objęła cały teren naszego województwa.

Napływające zgłoszenia stały się swego rodzaju sondą popularności łódzkich autorów. Daleki jestem oczywiście od wniosku, że ci pisarze, na których było mniejsze zapotrzebowanie, względnie nie było go wcale, są twórcami mniejszej rangi. Po prostu są oni zbyt mało spopularyzowani, a tym samym mało znani. Tak jest szczególnie z młodymi poetami. I właśnie jednym z głównych zadań Dni Współczesnej Literatury Łódzkiej było zaprezentowanie ich w odległych nieraz rejonach naszego województwa.

Bardzo istotnym momentem tej akcji było zadeklarowanie przez każdego autora odbycia jednego spotkania społecznie, przede wszystkim w szkołach. Zastanawiające jest więc w tej sytuacji zupełnie zlekceważenie tej pięknej inicjatywy pisarzy przez Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi. Wykorzystało ono natomiast rzadką możliwość zapoznania młodzieży szkolnej z województwa z łódzkimi twórcami. Również przychylnie do tej akcji odniósł się Inspektorat Oświaty Łódź-Sródmieście. Wszędzie gdzie występował, spotykali się pisarze z dużym zainteresowaniem i gorącym aplauzem. Mimo iż zdarzało się, że w Klubach Rolnika spotkania były czasami kontynuacją transmisji z Wysiegu Pokoju, to jednak wychodziły z tego ciekawe wieczory autorskie. Często, gdy autor potrafił zaabsorbować słuchaczy, wywazywała się żywa dyskusja. Do rzadkości także, na szczęście, należały odwołane spotkania. Gdzieś tam jeszcze niestety pokutował „tradycyjny” styl organizowania imprez czyli spęd młodzieży szkolnej i przedszkolnej i to na spotkanie w godzinach wieczornych, a na dodatek doprowadzano kilku starszych „ochotników”. Na taki wyczyn pozwolił sobie Gromadzką Ośrodek Kultury w Działoszynie, znany przecież skądinąd z udanych imprez.

Ciekawe spostrzeżenie nasuwa się po spojrzeniu na rozmieszczenie poszczególnych spotkań. Otóż najwięcej przypadło ich, poza Łodzią oczywiście, na Radomsko. I nie jest to chyba przypadek. Nie gdzie indziej bowiem, a w Radomsku, działa od kilku lat jedyny w województwie Klub Miłośników Książki przy księgarskim „Domu Książki”. Tak więc panuje w tym mieście jakiś bardzo przychylny klimat dla książki i jej twórcy.

Z tych na gorąco pisanych uwag wynika, że cenna inicjatywa „Domu Książki” dobrze chyba spełniła swoje zadanie. Co ciekawe nie bawiono się w żadne oficjalne komitety obchodów Dni Współczesnej Literatury Łódzkiej, a wszystko szło sprawnie i impreza jak to się popularnie określa, sprawdziła się w realizacji. Ba, nawet rozszedła wyznaczone jej ramy i trwała do końca maja.

Bez strachu

WŁOSY

Z wszystkich znanych mi części mójego ciała najbardziej zagadkowe są włosy — moje ręce, nogi, moje usta podlegają aktom woli — to cząstki mnie — to ja niemal... natomiast włosy są niejako posiane we mnie, ze mnie wyrastają — niezależnie ode mnie do granic bezwstydu. Jeżeli uprawiam gimnastykę, rozstrząsa się ręce i nogi — jeżeli dużo mówię, rośnie i boli język — a włosy, włosy rosną i wypadają w zupełnej niezależności od mojej woli, a jednak rosną ze mnie i wypadają... Lekceważąc moje pragnienia i gusty otaczają moja głowę niezasłużoną aureolą, czynią mnie lśnącym bez tostojeństwa. Bezwładne włosy stwarzają niekiedy poczucie łączności ze mną — jakiejś atawistycznej nieaktualnej solidarności. Kiedy jestem przerażony, włosy mi stają na głowie, ale dlaczego? — Bym temu „wrogowi”, który wzbudza przerażenie, wydał się bardziej rosochaty, większy, bardziej srogi. Tak to włosy przez pozorną solidarność ze mną atawistycznie widzą moje stosunki z ludźmi — przenoszą je z płaszczyzny społecznej i humanistycznej w epokę niezmierzniętą — bycie odległym, kiedy człowiek nie był jeszcze człowiekiem... Włosy pachną niezależnym od mego ciała zapachem, włosy żyją własnym oschłym napełnionym życiem. Wiem, że w rodzinie mojej śmierci zakończyła się łączność ze mną — będąc rosnąc — być może, najintensywniej z mojej głowy, bezwładnie i kłamliwie zaprzeczając śmierci. Co począć z włosami — najlepiej chyba wyluszczyć, ale czy możliwe jest wyluszczenie kompletne — gło- wa bez jednego włosa, bez meszku włoskowego. Nie ludźmy się, nikt z nas nie jest łwoniem kompletnym, każdy służy całym sobą za głębi pewnej ilości włosów i nie jest w stanie ich policzyć. Dwoje oczu, dwie ręce, dwie nogi, jeden nos, jeden język, ale ile włosów? Po- zostaje narządy podlegają mi w większym lub mniejszym stopniu — im więcej zorganizowany narząd, tym silniejszy, bardziej bezwładny stosunek podlegania. Oczy mogą zamknąć leciutkim ruchem powiek, kończynami władam dowolnie — nieco gorzej już władam sprawą z prymitywniejszym od wzroku słuchem i powonieniem, ale i tutaj można sobie od biedy radzić. Ale włosy, włosy w ogóle nie są moim narządem — wyrastają ze mnie wbrew mojej woli — niekiedy w ostatecznej rozpaczy wyrwam je sobie garściami z głowy (spróbowałby kto wyrwać sobie nos, ucho, rękę czy nogę) — nie z tego — odrastają, odrastają. Uczeń dotychczas nie potrafił określić ilości neuronów w korze mózgu wej, zgoda, ale moje neurony są naprawdę moje, pracują dla mnie pełną parą, zachodząca w nich przemiana materii jest in tensywniejsza, niż w komórkach mięśniowych. Ale włosy nie rosną dla mnie, ani dla mnie nie wypadają, ani dla mnie nie siwieją — wcale ich nie pragnę, przeciw słońcu i mrozom mam odpowiednie czapki, przed deszczem chroni mnie parasol. Włosy udają uczynną służbę dla mnie, której wcale nie pełnią, siwieją wtedy, kiedy ja się nie starzeję, rosną bujnie, kiedy strawia mnie starość — włosy nie tylko pełnią dla mnie fałszywą służbę, pragną mnie także fałszywie reprezentować, sugerować istnienie spraw nie istniejących, zacierają istnienie problemów które mnie naprawdę meczą, cieszą i boją. Nie wolno wierzyć moim włosom! Ot i teraz przeczytałem z uczuciem radości i zadowolenia ten felieton, a one? One stanęły mi na głowie...

BERNARD SZTAJNERT

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Rzeźbiarz — Siergiej Tumanian



Siergiej Tumanian ukończył studia plastyczne, na oddziale rzeźby siedem lat temu. Mało wystawiał, ale brał już udział w wystawie międzynarodowej. Jedną z jego ostatnich rzeźb z drzewa, zatytułowaną „Macierzyństwo” pokazana była na wszechzwiązkowej wystawie pn-

cuszkich radiowców, „transztor” przynosi trzy pieśni Okudźawy: „Po smoleńskiej darogje”, „Nie wiertcie piechotie” i „Kadga wniezapno woznika-je...”.

O tym popularnym i u nas pieśniarzu, poecie i powieściopisarzu, pisze ciepło w części tekstowej radzieckiej poeta Borys Szucki.

Pieśni Okudźawy słyszy się wszędzie. Kim jest Okudźawa? „Wyobraźcie sobie — pisze Szucki — ucznia, który wychowywał się bez ojca i bez matki, poważnego nad swój wiek, chmurnego, mądrego i oczytanego”. Z dziewięcioletniej muzyka wszystko jedno jaka, musi nużyć. Słuchacz pragnie urozmaicenia i różnorodności. Najbardziej celowe jest więc programowanie krótkich emisji muzycznych przerywanych krótkimi audycjami mówionymi. Jak twierdzą francuscy radiowcy dziennik nadawany przez France-Inter o godzinie 20, cieszy się taką samą popularnością jak dziennik TV o tej samej godzinie. Celowe jest też podawanie częstych, krótkich, w zwartej formie, informacji politycznych i innych jak np. kulturowych. W godzinach od 21 do 22 słuchacz lubia również interesujące, popularne pogadanki ze wszystkich dziedzin wiedzy i sztuki

„Na straże Rodiny”. Charakterystyczne dla twórczości Tumaniana jest poszukiwanie i niezwykłość nowych rozwiązań plastycznych. Natchnieniem dla młodego twórcy jest sztuka ludowa.



Bulat Okudźawa

BULAT OKUDŻAWA W „KRUGOZORZE”

■ Najświeższy numer radzieckiego „Krugozoru”

Przypominamy, że Bułat Okudźawa (ur. 1924) opublikował dwa tomy wierszy pt. „Wyspy” (Ostrowa), „Wesoły doboz” (Wiesioły barabanszczyk) oraz powieść pt. „Jeszcze pozostaje” — (Budź zdrowo szkolark!).

INTERESUJĄCE RZEŻBY MŁODEGO TWÓRCY

■ Radziecki dwutygodnik „Smiena” zamieszcza w numerze 9 fotografie interesujących rzeźb młodego radzieckiego artysty Siergieja Tumaniana.

utworem tradycyjnym, zamilowanie do słuchania znanych, nieraz dawnych, śpiewaków. Oczywiście, choć np. Tino Ros si jest bardzo lubiany i chętnie słuchany, nadawanie go zbyt często tak że nuży. W związku z rozwojem telewizji, nastąpiła dość wyraźna zmiana upodobań słuchaczy radiowych. W godzinach 20—22 we Francji telewizja wyraźnie odciąga od radia. Przed wprawdzeniem TV słuchanie radia było niemal obrzędem rodzinnym. Zasiadano w gronie rodzinnym przed aparatem radiowym, aby wysłuchać koncertu czy sztuki teatralnej. Rola ta przypada dziś telewizji. Rozpowszechnienie się zaś aparatów transztorowych zmieniło poważnie nawyki słuchacza radiowego. Słuchanie radia stało się coraz bardziej indywidualne (nie w gronie rodzinnym). Jak się wyraził jeden z fran-

DOKĄD ZMIERZA RADIO?

■ Pod takim tytułem czytamy w „L'Humanité Dimanche” interesujący artykuł na temat zmian jakie zachodzą w programach radiowych. Niektóre rozgłoszenie zupełnie przekształciły już swe programy Radio Luksemburg piętnaście miesięcy temu dokonało poważnych reorganizacji. Rozgłoszenia France-Inter rozpoczęła też zmiany programowe zdobywając więcej słuchaczy. Pierwsza bodajże rozgłoszenia Luksemburg zauważyła spadek słuchaczy na skutek przeladowywania programu hałaśliwą muzyką mocnego uderzenia. Sądono początkowo, że sześć lat publicznosc ceni te audycje, okazało się jednak, że większość słuchaczy woli dobrą muzykę popularną. Zaznacza się przy tym wyraźny zwrot gustów ku melodyjności.

„Matka i dziecko”. Rzeźba S. Tumaniana.



„Matka i dziecko”. Rzeźba S. Tumaniana.

spektakle tygodnia

TEATRY

spektakle widzów proc.

WIELKI			
„Jezioro łabędzie”	1	1276	100
„Halka”	2	2552	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
„Niobe”, „Tytania i osioł”, „Pancernik Patiomkin”	2	2552	100
NOWY			
„Damy i huzary”	3	2100	100
„Lato”	3	1400	75
MAŁA SALA			
„Gra miłości i przypadku”	3	600	100
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	660	100
„Bereziacy”	1	600	90
JARACZA — 7,15			
„Bliźniak”	6	1560	60
OPERETKA			
„Dziękuję ci, Ewo”	6	5850	90
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Pan Puntilla i jego sługa Matti”	5	1165	90
„Aszantka”	5	1380	96
FILHARMONIA			
Poranek muzyczny	1	700	95
Chór meksykański	1	400	60
Koncerty symfoniczne	2	800	60

OBIEKTYW

MATKA

Z NOWOSYBIRSKA I TURYN

Dwa fabularne widowiska telewizyjne nawiązały do Dnia Matki. 26 maja w ramach cyklu „Teatr telewizyjny na świecie” oglądaliśmy włoski film telewizyjny p.t. „Matka z Turynu”. Następnego dnia poniedziałkowy Teatr TV nadał sztukę Wiktora Ławrentjewa „Czcij Matkę swoją”.

Dwa widowiska, dwa gatunki telewizyjne, a temat jeden: matka. Jedną z fali ciepłych uczuć kojarzących się z tym tematem. Niezależnie od szerokości geograficznej, niezależnie od uwarunkowań społecznych i obyczajowych, słowo „matka” ozna-

cza zawsze i wszędzie to samo. Dlatego matka z włoskiego Turynu i matka z Nowosybirka ze sztuki Ławrentjewa są sobie tak bliskie, że omal nie jednakowe.

Najpierw parę szczegółów o obu widowiskach. Film włoski reżyserował Gianni Bongioanni, a rolę matki kreowała w nim Lucia Catullo. W ubiegłym roku uzyskała nagrodę „Prix Italia” za twórczość w dziedzinie teatru telewizyjnego.

Dwa wyjaśnienia. „Prix Italia” to nazwa dorocznego konkursu na twórczość radiową i telewizyjną. Po raz

pierwszy „Prix Italia” przyznano na Capri w roku 1948 za twórczość radiową. Od roku 1957 rozszerzono konkurs także na działalność telewizyjną. Jury „Prix Italia” zbiera się co roku w innym mieście włoskim. Nagrody przyznawane w tych ramach uważa się za najcenniejsze w Europie. Warto przypomnieć, że w 1966 roku nagrodę „Prix Italia” uzyskało widowisko „Mistrz” Zdzisława Skowrońskiego w reżyserii Jerzego Antczaka ze znakomitą rolą Januszem Warneckim w roli tytułowej.

I drugie wyjaśnienie. Film „Matka z Turynu” uzyskał nagrodę „Prix Italia” w dziedzinie teatru TV. Może to nas trochę dziwić ze względu na to, że w naszej telewizji ściśle odgraniczamy widowiska teatralne od filmów telewizyjnych. A przecież granica między widowiskiem studyjnym a filmem kręconym dla potrzeb telewizji jest dość płynna i umowna. Można sobie absolutnie wyobrazić teatr TV w oderwaniu od skojarzeń z teatrem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

A teraz parę informacji o sztuce Ławrentjewa i o widowisku TV stworzonym w oparciu o jej tekst. Sztuka

„Czcij Matkę swoją” powstała w roku 1964 i spotkała się w Związku Radzieckim z bardzo życzliwym przyjęciem. Akcja jej dzieje się gdzieś „daleko od Moskwy”, można jednak przyjąć, że w rodzinnym mieście pisarza, w Nowosybirsku.

Sztukę Ławrentjewa w przekładzie Witolda Dąbrowskiego zaadaptowała dla Telewizji Polskiej Kira Gałczyńska. Reżyserem spektaklu był Konstanty Ciciszwilli. W kluczowej roli matki wystąpiła Ryszarda Hanin. Z wykonawców pozostałych ról na szczególnie wyróżnienie zasłużył Wojciech Bak jako mąż Trofim i Zbigniew Zapasiewicz jako przybrany syn Maksym.

Oglądaliśmy więc na ekranach naszych telewizorów dwie matki, obie eksponowane w sposób wzruszający, obie przeżywające ciężkie, choć z całkiem odmiennych przyczyn, chwile.

Matka z Turynu chwytła w ostatnim momencie za rączki swego kilkuletniego synka, który przechylił się ponad balustradę balkonu i zawisł na wysokości kilku-nastu pięt nad ulicą. Matka nie jest w stanie wydzignąć

dziecka, trzyma tylko kurczowo małe rączki, trwając w rozpaczy, samotnej walce o jego życie.

Widowisko trwało pięćdziesiąt minut i można przyjąć, że prawie tyle czasu trzymała matka swe dziecko nim na deszczą pomoc. Jej rozpacz i lzy bezsilności wstrząsające były chyba dla wszystkich Nikogo nie trzeba przekonywać, co czuć może matka w tego rodzaju sytuacji. I chyba tylko wielkie uczucie pozwoliło matce z Turynu zdobyć się na nadludzki wręcz wysiłek i na wytrwanie.

W sztuce Ławrentjewa sytuacja jest bardziej złożona. Bohaterka jej Sonja ma dwoje dzieci własnych i pasierbka, którego chowała od pierwszych miesięcy jego życia i którego obdarzyła pełnym uczuciem macierzyńskim. Maksym wyrasta na fizyka-atomowca i na początek sztuki nie wie nawet, że nie jest rodzonym synem Sonji.

Nie będę tu przytaczał złożonych perypetii akcji. Zatrzymam się tylko na końcowej scenie widowiska, gdy Maksym ujawnia matce (tak, matce, nie macosz! Sonja nigdy nie była mu macocha!),

że uległ napromieniowaniu i że zapewne zapadnie na chorobę popromienną. No, może to nie jest jeszcze wyrok śmierci, ale groźna perspektywa.

I właśnie matka z Nowosybirka, ocierająca łzy i świadoma całej swej bezsilności wobec czającej się strasznej choroby syna, wydała mi się tak bliska matce z Turynu, daremnie usiłującej wyciągnąć swe dziecko z za balustrady. Obie matki miały w sobie coś z tragizmu antycznej Niobe, będącej świadkiem śmierci swych córek.

W dramatycznych przeżyciach obu matek zawarł się tak wielki ładunek uczucia, spotęgowany znakomitą grą Lucii Catullo i Ryszardy Hanin, że trudno chyba o lepsze uczucie Dnia Matki. Umiejętne wiązanie obu widowisk z dniem 26 maja było przykładem dobrego programowania w naszej telewizji.

Władysław Orłowski

Beznadziejna wojna

AMERYKAŃSKI DZIENNIKARZ D. HARLESTON, W REPORTAŻU ZAMIESZCZONYM NA LAMACH NOWOJORSKIEGO „HARPERS MAGAZIN”, OPISUJE STOSUNKI, PANUJĄCE W POŁUDNIOWYM WJETA- NIE. DRUKUJEMY FRAGMENTY TEGO REPORTAŻU.

Wylądowaliśmy na lotnisku niedaleko Sajgonu i znów zastałem ten sam obrazek: niezmiernie długi postój na betonowej płycie lotniska, później poczekalnia, dokąd przybyli przedstawiciele amerykańskiej misji pomocy, żeby nas przyjąć i przeprowadzić bez kontroli przez wietnamskie biuro imigracyjne. Wreszcie, po przejściu przez komorę celną powitał mnie mój stary przyjaciel i jeden z bardziej znanych reporterów Mart Perry, przebywający tutaj już od pięciu lat. Zaraz na wstępie utwierdził mnie w przekonaniu, że iluzje co do zwycięstw wciąż jeszcze działają; jeśli wydajecie na wojnę 30 mld dolarów rocznie, to, w najgorszym razie, jakąż część tych iluzji wolno wam mieć.

Udaliśmy się do miasta i wstąpiliśmy do amerykańskiej centrali prasowej. Perry przedstawił mnie przewodniczącemu centrali — Barry Zortbianowi. W trakcie przyjęcia Perry zwrócił się do Zortbiana:

— Powiedz no Barry, co ten blagier Comer (poseł i przewodniczący amerykańskiego programu pacyfikacji w Wietnamie; na ścianie w jego gabinecie wiszą aż sześć fotografii Johnsona) plecie o zakończeniu wojny za 6 miesięcy?

Dodam tu od razu, że Zortbian to doświadczony i znakomity specjalista w swoim fachu. Sądzą, że ma w sobie coś w rodzaju „przypięszości predkości”, który wiać w rozmowach z pewną kategorią reporterów. W stosunku do takich ludzi jak Perry i ja nie ośmiela się wyrażać tak wielkiego optymizmu, pragnąc jedynie, żeby ten optymizm był cokolwiek strawny, żeby brał pod uwagę problemy, ale był też daleki od radosnych uniesień.

— Nie sądzę — zaczął Zortbian — żeby Bob to powiedział...

— Klęę się na Bogą — odpowiedział Perry — owo dział do moim dwóm kolegom. Sześć miesięcy... Zortbian znów zaczął:

— A choćby i tak, to mo-

im zdaniem Bob miał na myśli, że za 6 miesięcy skończy się „zwyczajnej” wojny.

Kiedy byłem tutaj w roku 1962 i 1963 należałem do grupy dziennikarzy, którzy wierzyli, że wojnę można wygrać, lecz wąpili w efektywność tej walki i potrafili dostrzec zalążki klęski w naszych własnych usiłowaniach. Grupa ta znalazła się pod ostrym ogniem krytyki ze strony amerykańskich urzędników z skrajnym pesymizmem. Wszelako, spoglądając dziś za siebie, sądzę, że nasza ogromna wina polegała wówczas na tym, iż byliśmy zbyt mało pesymistyczni. Gdy teraz mówi się o Wietnamie wysuwają się takie najważniejsze problemy: czy USA mają wystarczające źródła, żeby odnieść zwycięstwo i czy mogą z nich czerpać? Ten i ów mówi tu o reorganizacji południowowietnamskiej armii, tak samo, jak mówiono już o tym sześć lat temu. Ale na to już za późno, w kraju napięcie przeciągnięte do ostatnich granic, i jaka jest gwarancja, że południowowietnamska armia może być zorganizowana, i czy to w jakikolwiek sposób zmieni położenie? Czy można stworzyć silną nową armię w społeczeństwie zgniętym na wyłot? Amerykanie dużo tu mówią o konieczności zniszczenia „ogólnowietnamskiej infrastruktury” — niewidzialnego elementu państwa, który stanowi klucz do lokalnych sukcesów komunistów. Jednakże otwarcie przyznaje się, że tej infrastruktury niezmiernie rzadko udaje się dotknąć. W czasie gdy wróg ponosi straty w ludziach, jego aparat pozostaje nieknięty, a to ma przecież ogromne znaczenie. W tej sytuacji realna siła Wietnamu nie ponosi żadnego uszczerbku.

Najważniejsze problemy tego społeczeństwa nie zostały rozwiązane. Rząd południowowietnamski nie ma żadnego autorytetu wśród większości swych obywateli. W amerykańskiej misji rzadko wyrażają się pochlebnie o

naczelniku prowincji, czy o kręgu. Prawdą jest, że większość prowincjonalnych i okręgowych naczelników w południowym Wietnamie, to ludzie sprzedający i niekompetentni. Chodzą słuchy o ulepszeniach w południowowietnamskiej armii, ale jednocześnie ogólnie przyznaje się, że owa armia, jak to było zawsze, dowodzą klępscy dowódcy, i że nie widzi ona przed sobą celu, o który warto by walczyć. Jej oficerowie stanowią mikrokosmos, obracający się wokół systemu przywilejów, bardzo rozbudowanego w Wietnamie południowym. Ta armia nie zmienia się, ponieważ nie może się zmienić, nie może dokonać transfuzji świeżej krwi, a dopóty, dopóki tego nie zrobi będzie zawsze ponosić porażki.

Program pacyfikacji nazywamy nieraz „drugą wojną”, to bezsporne naśladownictwo całej serii wynozonych pod niebiosa programów, a koniec końców zakończonych fiaskiem — agrowilli, strategicznych wsi, rejonów zasiedlanych wedle cech narodowościowych — przedstawia teraz znaczenie li tylko z punktu widzenia wyciągnięcia wniosków z przeszłości.

W najlepszym wypadku osiągnięto taką „pacyfikację”, o której cierpieć skóra. W trzecim dniu mego pobytu w Wietnamie uczestniczyłem w konferencji prasowej pewnego wysokiego urzędnika z misji pacyfikacyjnej. Powiedział, że jego program pacyfikacji tym różni się od wszystkich innych programów, że tym razem mamy na to nieodzowne źródła, z których można czerpać. Pomyślałem sobie: mój Boże, czy nie mówi on przypadkiem o programie budowy strategicznych wsi!...

Komunistę nie tylko przegnał Francuzów i opracował nowy przemysłowy sposób prowadzenia wojny, ale i wysunął lepszych ludzi na pierwsze pozycje. Oni obudzili nadzieję wśród chłopów, oni wydobyli w kraju jakieś tajemne i ogromne moce i zburzyli bariery rozgarnięte społeczeństwo, i to tak doszczętnie, że w końcu to, co ich łączy jest mocniejsze od tego, co ich dzieli.

Nasi Wietnamczycy bili się niegdyś pod dowództwem Francuzów. Przeciwnik miał w swych szeregach rewolucjonistów, a my mamy urzędników z całą ich urzędniczą mentalnością. Nasi wyżsi wietnamscy oficerowie byli niegdyś francuskimi kapralami.

Choć nasze niepowodzenia tkwią korzeniami w czasach gospodarki francuskiej, to jednak nie można ich już dłużej o to obwiniać. Gdy

byłem tutaj w 1962 roku, istniała tendencja zwalania wszystkiego na następstwa francuskich rządów w dziedzinie nauki i służby państwowej. Teraz jednakże my sami znajdujemy się tutaj już dostatecznie długo.

Niedawno, misja amerykańska, rozumiejąc, iż wśród najbardziej poszkodowanych znajdują się również weterani wojny wietnamskiej, postanowiła zrobić coś dla podniesienia ich na duchu. Postanowiła więc misja ufundować 120 czteroletnich stypendiów w uczelniach Stanów Zjednoczonych z uzupełniającym kursem nauki języka angielskiego. Propozycję tę przedłożył południowowietnamskiemu ministerstwu szkolnictwa, które bardzo szybko nadesłało Amerykanom wykaz imienny 120 najbardziej zasłużonych weteranów. Którys z pracowników misji całkiem przypadkiem przejrzał listę kandydatów i odkrył, iż między pseudokandydatami i weteranami istnieje całkiem prosty związek. Oto wszyscy oni — 120 osób — byli po prostu braćmi, kuzynami, przyjaciółmi i wierzycielami urzędników ministerialnych.

Wówczas Amerykanie zwrócili się bezpośrednio do weteranów i opublikowali odpowiedni komunikat w prasie. Wreszcie zasługujący na zaufanie kandydaci zostali przyjęci i wysłani do Ameryki. Misja powinszowała sobie za równo szczęśliwy początek, jak i wykrycia fałszywej listy kandydatów. Jednakże po upływie kilku tygodni okazało się, iż każdy weteran był zmuszony dać, komu trzeba, łapówkę w wysokości 40 tysięcy piastrow, żeby otrzymać paszport na wyjazd do USA...

Korupcja ogarnęła wszystkich od góry do samego dołu, od komendanta korpusu, handlującego w swym rejonie czym się tylko da, do biednego nauczyciela szkoły, otrzymującego 1400 piastrow miesięcznie i sprzedającego teksty pytań i odpowiedzi egzaminacyjnych wszystkim swoim uczniom, co przynosi mu ok. 8 tysięcy piastrow miesięcznie i kompensuje w ten sposób straszliwą inflację. Każde stanowisko w administracji i w południowowietnamskiej armii stanowi obiekt interesu i może być kupione.

Stworzyliśmy nową klasę, w tym samym czasie, kiedy ludzimi proponuje się iść i umierać za swój kraj. Nasza działalność idzie na rękę różnego rodzaju łobuzom, oszustom i ciemnym typtom. Wśród niektórych pracowników amerykańskiej misji panuje przekonanie, iż niepokój spowodowany azjatycką korupcją jest śmieszny, ponieważ jest ona tradycyjna. Ja wszakże nie myślę, żeby

ten niepokój nie był uzasadniony. Jedną z przyczyn powodzenia naszych przeciwników polega właśnie na tym, że tam korupcji nie ma. Korupcja w południowym Wietnamie już od dawna przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice i obecnie dominuje w społeczeństwie południowowietnamskim, co więcej — paraliżuje je.

Wzięmy na przykład dowódcę sztabu południowowietnamskiej armii, faworyta Amerykanów, Kao Wen Wiena i jego żonę panią Wiena. W małym kurorcie Wintul, madame Wien przywłaszczyła sobie działki ziem należące do państwa, pobudowała na nich domy wypoczynkowe, które wydzierżawia Amerykanom. Czerpie stąd dochody sięgające 400 tysięcy piastrow — w przybliżeniu 3 tysiące dolarów — miesięcznie. Ponadto posiada wielkie nieruchomości w Sajgonie i prowadzi machinacje państwową własnością ziemską, ciągnącą się wzdłuż szosy do Bienhoa. Niedawno, pewien młody oficer amerykański, władający językiem wietnamskim, był z nią i z jeszcze kilkoma przedstawicielami miejscowych władz administracyjnych, w Wintul. Pani Wien wydawała polecenia, jak należy rozdzielać piwo „Saint-Miguel”. „Uderzał tutaj nie szeroki zakres jej interesów, które rzeczywiście były ogromne — opowiadał później ów oficer — ale wolał ją o pomysł cynizm. Doskonale wiedziała, że rozumiem po wietnamsku, ale po prostu gwizdała na to”.

Znacznie głębiej pogrążyli się w korupcji dowódcy korpusów, a w szczególności 2-go, 3-go i 4-go. Stali się oni nowymi wojskowymi baronami w południowym Wietnamie, którzy urzymują określoną równowagę sił i którzy w przeszłości podtrzymywali władzę sajonkie, lub ich nie podtrzymywali. Oni to kupują i sprzedają dostawnie wszystko, i to co można sobie wyobrazić, i to czego sobie wyobrazić nie sposób. Sprzedają stanowiska komendantów prowincji i okręgów: 3 miliony piastrow za stanowisko komendanta prowincji, 1 milion lub więcej — za stanowisko komendanta okręgu, plus oczywiście, comiesięczna łapówka w wysokości od 10 tysięcy piastrow do 10 proc. od budżetu danego komendanta. Stanowisko dowódcy dywizji może go kosztować 5 milionów piastrow.

Dochody mogą płynąć z najprzeróżniejszych źródeł. Mały płonek zarabia na tym, że wie gdzie „znajdują się dusze” nie istniejących żołnierzy, którzy stanowią do 30 proc. ogólnego stanu osobowego; należą do nich zabici lub w ogóle wymyślowani

ludzie, którym komendant nadal wypłaca żołd. Większa rybka łącznie korzyści z nowego bumu odbudowy kraju. Wszystko co się buduje — wszystko przynosi zyski, wszystko procentuje. Niczego nie można zrobić bez łapówki, a łapówki biorą nawet najwyżej postawione osoby w hierarchii państwowej. Oprócz tego, Amerykanie wwożą do południowego Wietnamu ogromne ilości przeróżnych dóbr. Doiki portowe przemieniły się w złoty żył, podobnie jak bary, które częściej odwiedzają Amerykanie. Pewien dowódca korpusu zo stał królem opium.

Prowincjonalni komendanci ciągną zyski z budownictwa i miejscowej kontrabandy. W rezultacie każdy coś sprzedaje: prawo jazdy za 5 tysięcy piastrow, miejsce w wojskowym samolocie za 6 tysięcy piastrow, pozwolenie na pracę u Amerykanów za 50 tysięcy piastrow...

Wśród pracowników misji amerykańskiej nabiera coraz większej wagi nowy punkt widzenia na wojnę w Wietnamie, który — moim zdaniem — jest produktem rozczarowania z programu pacyfikacji oraz innych programów odbudowy kraju. Ow punkt widzenia jest następujący: wojny nie wygrywa się tylko potęgą wojskową, i chociaż obecny rząd sajonki jest bardzo słaby i sprzedający, a południowowietnamska armia — mitem, my, Amerykanie, robimy tak dużo i tak dużo zaopatrzenia wysyłamy do niezliczonych miejscowości w kraju, że niezawodnie, częściowo już niezależnie nawet od nas, wyda to swoje owoce.

Nie jestem o tym przekonany. Przyczyny niepowodzeń w przeszłości tkwiły nie tyle w braku źródeł zaopatrzenia — zawsze mieliśmy więcej helikopterów od przeciwnika — ile w braku kierownictwa, sił napędowych i jednności. Mogę się mylić, ale sądzę, że im więcej wkładamy w ten kraj, tym bardziej podrywamy jego korzenie, i tym bardziej demoralizujemy naszych wietnamskich sojuszników.

Nie sądzę, żebyśmy zdążyli do zwycięstwa. Przyczyną tego są tak poważne, że chociaż chciałbym wierzyć moim przyjaciołom, wedle których znów otwiera się przed nami „ostatnia szansa” w Wietnamie, sądzę, że ich nadzieje są efemerydą. Nie myślę, żeby nasi wietnamscy sojusznicy mogli wygrać swoją „polowę” wojny, albo że my moglibyśmy ją wygrać dla nich. Myślę, że w końcu pohamujemy naszą ambicję i popchniemy wietnamskich sojuszników do rozmów z przeciwnikiem, w nadziei, że w jakiś sposób sami uregulują to, czego nie mogliśmy uregulować my... (4)



Lewym okiem

POZBYĆ SIĘ NIEPALĄCYCH!

W korespondencji z „Polityką” jeden z jej czytelników, natogowy, jak można się domyślić, palacz, skarży się, że często nie może znaleźć w pociągu miejsca w przedziale dla palących, a paląc w korytarzu naraża się na kose spojrzenia i docinki niepalących, którzy też nie znajdują miejsc w przedziałach. Inny czytelnik, nawiązując do słów tamtego, radzi, aby niepalących w ogóle wyeliminować z pociągów. „Jeżeli nie potrafimy bez dezaprobaty znaleźć się w miejscach publicznych, to należy się ich pozbyć”.

Ta sama „Polityka” w reportażu, relacjonującym drobny zrzędnik przy pracy w pewnym zakładzie przemysłowym, przytacza rozmowę dziennikarza z poszkodowanym: — Dlaczego pan nie założył okularów ochronnych przy szlifierce? — Dlatego, że nikt nie zakłada i koledzy śmieliby się ze mnie, nazywałby kosmonautą. „U nas nie lubią takich, co to się zanadto boją”.

Obydwa wypadki stanowią — wydaje mi się — typowe przykłady narzucania jednostkom przez

na najbliższe środowisko stylu życia, sposobu postępowania, niezgodnego nie tylko z interesem tej jednostki, ale z przyjętymi oficjalnie normami społecznymi. Komentarz o usunięciu z pociągu osób niepalących jest oczywiście ironiczny, ale wiele razy już bywałem w sytuacjach, kiedy zwarty front owego „najbliższego środowiska” bez najmniejszego wahania gotów byłby zniszczyć natychmiast opozentą, wyrzucić go z pociągu, zgniebić bezlitosnym omśmieniem.

Jeszcze jeden przykład z pociągu: o bardzo zimny majowy wieczór weszła do przedziału tępa, młoda niewiasta z mężem, nie zamykając za sobą drzwi. Siedzący przy drzwiach starszy jegomość zamknął je po chwili bez słowa. Po paru minutach tępa pani otworzyła je bez słowa znów, a po dalszych paru — pasażer znówu je zamknął. Tak że cztery czy pięć razy, wreszcie pani nie wytrzymała i bardzo potrypotowanym tonem zaczęła coś o takich, co lubią smród, boją się powietrza i tym podobnie. Pan odpowiedział że jest niezdrowy, że mu zimno, i że nie było chyba zbyt grzecznie otwierać kilka razy, bez pytania innych o zgodę, drzwi, które zastało się przecież zamknięte.

Reakcja była huraganowa. Pani i jej zawiany chyba mał mieli języki jak najadwitsze żądla, reszta pasażerów ze śmiechem i aprobatą zawładowała — nawet, kiedy niezdrowy pan wyszedł na korytarz poszła za nim i rozmawiali — między sobą, brzoń Boże do niego — o śmierdziuchach, idiotach, dziwakach i batwanach. Oprócz drzwi otworzono jeszcze okno. Cały przedział okazał się nagle pełen miłośników świeżego powietrza. Nie było siły, która by mogła przeciwnieć się ofensywie tak skondensowanego chmstawa. Starszy pan musiał wyjść.

Niepalący w przedziale dla niepalących nie ma prawa prosić o wstrzymanie się współpasażerów

od palenia. Natychmiast zostanie dziwakiem, francuskim pieskiem i jeszcze dużo gorzej. Ostatnio służba kolejowa egzekwuje sama przestrzeżenie odnośnych przepisów i nie pyta, czy była zgoda współpasażerów: zgoda taka na szczęście przestała być, jak dawniej, usprawiedliwieniem. Na szczęście — bo nie było wypadku, żeby presja „najbliższego środowiska” takiej zgody nie wyszantażowała. Służba zagłada jednak do przedziału raz lub dwa w ciągu całej podróży. Palacze triumfują.

Triumfują też szlifierze o ulańskiej fantazji, szturmujący swe maszyny bez okularów ochronnych na oczach. Metalowe wiry pryskają na wszystkie strony, czasem także w stronę oka. Ale założyć okulary — nie honor. „Kosmonauta!”. Nie honor żądać reszty od kierowcy taksówki, od konduktora w tramwaju, od szatniarza, nie mówiąc o kelnerach. Zanim oni sami zdążą gestem i spojrzeniem wyrazić swoją najwyższą pogardę dla takiego gościa — już postyszyż komentarze osób, stojących obok. Już zadziała presja środowiska, przeciwko której — jak powiedziano — nie ma siłnych.

I znów, jak we wszystkich drobnych, codziennych, bytowych najważniejszych sprawach nie pomoże żaden nowy przepis, żadne kary, upomnienia, przypomnienia. Sytuacja zmieni się dopiero wtedy, kiedy cała atmosfera współżycia przekształciła zostanie wzajemną życzliwość, tolerancją, wyrozumieniem, kiedy dobro społeczne i nawet to najbardziej osobiste będzie wyżej cenione niż głupi dorozny gest, kiedy — po prostu mówiąc — będzie można narzeczć od każdego współmieszkańca tej ziemi oczekiwać tego minimum kultury, bez którego kontakty z ludźmi kończą się mizantropią, nerwicą, alergią.

CWIEK